

MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XV. Nr. 12.

WARSZAWA, 24 MARCA 1935 R.

CENA NUMERU 80 GR.

ANALOGJE Z PRZESZŁOŚCI

ZASADA, że *historia est magistra vitae* posługuje się nieraz polityka w sposób bardzo niewybredny. Przykłady z przeszłości przytacza się często w aktualnym celu, by mieć argument w codziennych walkach. Przykłady te dobiera się dowolnie, nieściśle, zniekształcając przeszłość. Im kto ma mniej zmysłu historycznego, mniej znajomości historii, z tem większą bezceremonjalnością grasuje po rozłogach dziejów. Wystarczy przypomnieć porównywanie obecnej uchwalanej konstytucji z Konstytucją 3 maja. A już najchętniej uzasadnia się każdą niemal dowolność władzy administracyjnej, każde naruszenie prawa argumentem, że chodzi tu albo o wyplenienie nałogów niewoli, albo też o walkę z tradycjami dawnej swawoli, czy złotej wolności szlacheckiej.

Wiele badań poświęcono naszym dziejom, ale mimo to sporo zagadnień nie zostało jeszcze wysświetlonych. Najsumienniejsi nawet historycy patrzą na przeszłość przez szkła teraźniejszości; nikt nie potrafi wyzwolić się w całej pełni od uprzedzeń i tendencji swojej epoki. Sądy o przeszłości zmieniały się nieraz, zależnie od chwili, w której powstawały. Upadek dawnej Polski budził z jednej strony potrzebę „podtrzymywania” ducha i wywoływał gloryfikację przeszłości, a z drugiej strony ton zbyt oskarżycielski; doszukiwano się czasem win tam, gdzie ich naprawdę nie było. Nieraz zbyt arbitralnie potępiano instytucje, które były koniecznym produktem dziejowego rozwoju, które spełniły swoje dziejowe przeznaczenie, a dopiero później zwyrodniały. Gdy się do badań hi-

storycznych zabierzemy na podstawie bardziej pełnego materiału, z poczuciem historycznej perspektywy, nie przenosząc w odległą przeszłość dzisiejszych pojęć i postulatów, wówczas unikniemy nazbyt łatwych uogólnień i powierzchownych sądów, które wulgaryzują historycy i politycy *ad usum Delphini*.

Zilustrujmy to na bardzo pospolitym przykładzie. Najczęściej piorunuje się na wolność szlachecką, na wszechwładzę sejmów, na dawne polskie „sejmowładztwo”. Niewątpliwie brak silnej władzy wykonawczej był źródłem wielu nieszczęść. Ale przecież całemi dziesiątkami lat nie były czynne Sejmy w Polsce, a wtedy było najgorzej; działo się tak, jak wiadomo, za Sasów. A następnie warto zastanowić się nad pytaniem: czy rozwój polskiego parlamentaryzmu, tej demokracji szlacheckiej, nie łączył się ściśle z wewnętrznym jednoczeniem Polski, poprostu z formowaniem się narodu polskiego? Trudno wielbić równocześnie unję Polski z Litwą, ową „*L'annexion d'autrefois*”, o której pisał Klaczko, a zapominać, że podstawą jedności stało się zrównanie szlachty litewskiej w prawach ze szlachtą polską. Gdyby w Polsce w owym czasie była władza absolutna, nie można było dokonać unji, a tylko podboju.

Można nad tem ubolewać, że w początkach w. XVI nie utrwaliła się władza możnowładztwa, reprezentowanego w senacie, a doszedł do głosu tłum szlachecki. Ale czy później ta masa szlachecka nie była cennym pierwiastkiem, który jednoczył państwo, który przeciwstawiał się odśrod-

kowym dążnościom różnych ambitnych możnowładców, gotowych, jak Radziwiłłowie, zdradzać Polskę w celu urzeczywistnienia swych planów dynastycznych? Każdą instytucję trzeba oceniać w jej rozwoju, a nie można jej ani w czambuł potępiać, ani też wielbić bezkrytycznie. I dlatego też różne skróty historyczne trzeba brać z bardzo wielką ostrożnością.

Nie wynika z tego, by polityka nie mogła posługiwać się przykładami z historii, by w budowie dzisiejszego państwa nie trzeba było powoływać się na analogie dziejowe. Charakter narodowy jest czemś trwałym, co nie ulega szybkim zmianom. A obok tych trwałych cech charakteru, należy uwzględnić tradycje, nałogi, przyzwyczajenia, które przechodzą z pokolenia w pokolenia, a które odzywają się nawet w bardzo odmiennych warunkach. I między dzisiejszą Polską a Polską dawną można stwierdzić podobieństwa nawet w dziedzinach, w których nastąpiły największe przewroty.

Wybermy dla przykładu taką właśnie dziedzinę — gospodarstwo. Przecież nikt nie oczekuje, że typie gospodarczym Polski XVII wieku i Polski wieku XX znajdą się jakieś podobieństwa!

Dzieli nas od dawnej przeszłości parę wieków głębokich przemian, dzieli nas rozwój nowoczesnego kapitalizmu; inne są metody produkcji, inne warstwy społeczne wysunęły się na czoło. A jednak...

Co było źródłem bogactwa i dominującego stanowiska w gospodarstwie w dawnej Polsce? Nie tyle produkcja, pełnienie określonych funkcji gospodarczych, a nawet nie tyle praca na roli, ile władza polityczna. Drobnym szlachcic uprawiał ziemię i żył z niej; wioskowy szlachcic woził zboże do Gdańska i na tem zarabiał; przemysłem i handlem zajmowało się mieszczaństwo, wypierane przez żydów. Ale najwyższe pozycje w gospodarstwie zdobywał ten, kto miał władzę w państwie lub był blisko jej ośrodków. Genezą wielkich fortun były przywileje królewskie na starostwa, królewszczyzny, przywileje na dzierżawy kopalni i ceł. Niektóre urzędy przynosiły bardzo wielkie dochody. Na tem tle w XVI i XVII wieku powstaje nowoczesne możnowładztwo, wyposażone w olbrzymie majątki. W jednych rękach łączy się dziesiątki miast i setki wsi. Te królewicza uzależniają od siebie swoich klientów, dzieląc państwo między siebie.

Walka o władzę staje się prosto walką o pozycję materialną. Kto ubożeje, przestaje odgrywać wybitniejszą rolę w życiu politycznym. Kto dochodzi do dostojenstw, ten się bogaci. Albo na drodze legalnej, zdobywając sobie tłuste beneficje i intratne urzędy, otrzymując od króla najlepsze starostwa, albo też na drodze nielegalnej, oszukując skarb na dzierżawach dóbr i kopalni, albo też

zabierając innym gwałtem ich majątki. Widzi się w tem zło; stąd ciągle wołanie o *incompatibilitas*, przeprowadza się ustawy przeciw łączeniu różnych lukratywnych urzędów, zresztą bezskutecznie. Nieustannie można czytać narzekania na nadużycia, na nepotyzm, na bogacenie się niesłuszne dzięki różnym *panis bene merentium*. Skarb jest pusty, ale wielu ludziom, którzy są blisko skarbu, dobrze się dzieje.

Żyjemy w innych czasach. Niema dziś królewiat z własnymi wojskami, władających na olbrzymich obszarach, niema królewszczyzn do rozdawnictwa, nie można się wzbogacić na dzierżawach dóbr państwowych; dygnitarze nie mają olbrzymich uposażeń w naturze. Ale sięgnijmy głębiej, nie krępując się zewnętrzną formą. Co zauważymy w dzisiejszym gospodarstwie? Oto podobny stosunek i podobną współzależność między siłą gospodarczą i siłą polityczną, jaki był przed wiekami, w zupełnie odmiennych warunkach. Podobnie jak niegdyś, siła polityczna jest źródłem przywilejów gospodarczych i finansowych.

I dzisiaj powstają fortuny dzięki koncesjom i monopolom. I dziś zawdzięcza się dominującą materialną pozycję dobrym stosunkom z ośrodkami władzy. Dawniej dostawało się po kilka lub kilkanaście starostw, obecnie dostaje się po kilka nadzorów sądowych, po kilkanaście rad nadzorczych. Uposażenia na kierowniczych stanowiskach w przedsiębiorstwach państwowych nie pozostają w proporcji do rentowności tych przedsiębiorstw, kłóca się z ogólną biedą i uciskiem fiskalnym masy narodu. Nowi panowie, nowa szlachta. Posiadacze monopolów na przywóz owoców południowych, na różne uprzywilejowane przedsiębiorstwa w Gdyni, nie przypominają ani rasą, ani wyglądem zewnętrznym dawnych Lubomirskich, którzy bogacili się na żupach solnych, ani Mniszechów z ich masą królewszczyzn. Ale analogiczne jest źródło tych fortun: przywilej oparty na koncesji rządowej.

Mógłby ktoś powiedzieć, że zawsze i wszędzie tak było, że ten, kto ma władzę, ciągnie z niej gospodarze korzyści. Niowątpliwie, że zawsze były nadużycia w wyzyskiwaniu urzędu czy władzy dla celów osobistych. Z drugiej strony zawsze warstwy, które dochodziły do władzy, skierowywały rozdział dochodu społecznego na swoją korzyść. Ale czem innym są nadużycia, czem innym polityka społeczna, która w dużej skali zmienia rozdział dochodu społecznego, a zupełnie czem innym powstanie rządzącej grupy, która łączy razem władzę polityczną z uprzywilejowaną pozycją gospodarczą. Nieraz się zdarzało, że w innych warstwach tkwiły źródła politycznej przewagi, a gdzieś indziej najobfitsze źródła bogactwa. W krajach zachodnich często rządziła szlachta czy biurokracja absolutnego władcy, a główna potęga ekonomiczna tkwiła w mieszczaństwie, odsuniętem od władzy.

Niewątpliwie więc do dzisiejszych stosunków polityczno-ekonomicznych możemy poszukać analogij w dawnej Polsce. Stwierdzając te podobieństwa, musimy się zapytać, czy taki związek między polityką a gospodarstwem wyszedł kiedykolwiek na zdrowie narodowi, czy stał się źródłem siły państwa? Łatwo dać odpowiedź. Monopol gospodarczo-finansowy grupy rządzącej wychodzi na

złe zarówno polityce, jak i gospodarstwu. Demoralizuje politykę, a paraliżuje gospodarstwo. Jeżeli komuś nie trafiają do przekonania codzienne przykłady, niechaj zagłębi się w przeszłość dawnej Polski. Zyska perspektywę do oceny dzisiejszego położenia i bodajże zaniepokoi się tem, co się dzisiaj dzieje.

ROMAN RYBARSKI

ROLA ŻYDÓW W DZIEJACH POLSKI

R O K 1 8 6 3

W TYM CZASIE, gdy Czerwoni o władnęli wszystkimi niemał sprężynami życia narodowego, przygotowując się intensywnie do powstania, Biali drzemali. W znacznym stopniu przyczynili się do tego Leopold Kronenberg i Jurgens, delegaci na zjazd Białych, który odbył się w grudniu 1862 r. w Warszawie. Obradującym w tak ciężkiej dla kraju chwili zebraniu, któremu przewodniczył Kronenberg, nadali neofici raczej charakter rozpraw akademickich i szlacheckiej pogawędki przy butelce wina. Zamiast przystąpić w sposób stanowczy do rozważenia wytworzonej przez poczynania Czerwonych sytuacji, postarał się Jurgens wmówić w uczestników zjazdu, że nie przewiduje się rychłego wybuchu powstania. Rozjeżdżali się więc delegaci w tem przekonaniu, że chwila rozpoczęcia walki z najeźdźcą, w oczekiwaniu na lepsze przygotowanie i przyjaźniejszej okoliczności, jest dość daleka.

Tymczasem Komitet Centralny (utworzony przez Czerwonych latem 1862 r.), którego programem hasłem była rewolucja społeczna w Polsce, wszedł w układy z kierownikami rewolucjonistów rosyjskich: Hercenem i Bakuninem. Dochodziły wprawdzie do Czerwonych wieści, że w radykalnych kołach moskiewskich mówiono głośno, iż kwestja Rusi i Litwy pokłóci ich z Polakami; nie zrażało to jednak członków Komitetu Centralnego, w którego skład, jak pisze Przyborowski („Historja sześciu miesięcy”, str. 176), „wchodzili ludzie nikomu nieznanym, gdzieś z ciemnych otepleni bytu narodowego wyrzuceni na wierzch w konwulsyjnych drganiach wulkanu powstańczego”. Ześlepieni nadzieją rozpętania rewolucji społecznej w Rosji, głusi oni byli na przestrogi Seweryna Elżanowskiego, który w przededniu powstania styczniowego pisał w „Przeglądzie Rzeczy Polskich”, że „...gdyby przyszło w państwie rosyjskiem do stanowczego przewrotu, Polska znalazłaby się wśród okropnego pożaru... i Polakowie musieliby się chwycić własnych sposobów, by własny dom wyratować...”

Parcie neofickich przywódców Czerwonych do nawiązania ścisłego kontaktu z rewolucjonistami rosyjskimi przyczyniło się walcie do zdekonspirowania planów powstańczych Komitetu Centralnego. Wyraźnie o tem pisze Lemke w swojej pracy p. t. „Dzieła Hercena”; twierdzi on, że „rząd carski był poinformowany o biegu najważniejszych prac przygotowawczych Komitetu Centralnego Narodu Polskiego”. Dzięki raportom neofity Grzegorza Peretza, współpracownika pisma „Gołos”, któ-

ry przebywał w najbliższem otoczeniu Hercena, wiedziano w Petersburgu, że wybuch powstania przygotowywany jest na styczeń (Limanowski: „Hugo Kołłątaj”, str. 648). Pisał też o tem Kraszewski, który w szeregu swoich powieści („My i oni”, „Akta męczeńskie”) zaznacza, że powstanie styczniowe było przewidziane przez Moskwę.

Ze Skierniewic wyszło hasło natychmiastowego rozpoczęcia walki zbrojnej. W tem mieście bowiem na początku stycznia 1863 r. zebrali się komisarze wojewódzcy, wśród których dużą rolę odgrywał Józef Piotrowski, członek rodziny, o której Mikołaj Berg pisał („Pamiętniki o polskich spisach i powstaniach 1831 — 1862”, t. I, str. 184), że „pochodzi z tych żydów, którzy wraz z Frankiem dla osiągnięcia rewnouprawnienia przyjęli powierzchownie chrystjanizm i zmienili swe nazwiska na krajowe, zachowując zawsze w głębi duszy i w domu obyczaj żydowski”. Komisarze postanowili przesłać Komitetowi Centralnemu *ultimatum*, w którym zażądali od niego ogłoszenia powstania, oświadczając, iż w razie sprzeciwu naczelnej władzy sami rozpoczną ruch zbrojny. Większość Komitetu nie chciała oprzeć się żądaniom malkotentów skierniewickich. Naprawdę poszczególni członkowie Komitetu, jak A. Giller (z tego powodu zapewne niecierpiany przez L. Kronenberga, który dał temu wyraz w swoim liście z dn. 4.VI.1864) i inni protestowali przeciwko rozpoczęciu powstania, zarzucając mu wprost, że nie postarał się nawet przygotować zawczasu w dostatecznej ilości i jakości środków wojennych. W styczniu 1863 r. Komitet Centralny, z którego wystąpił Giller (nie chcąc brać na siebie odpowiedzialności za klęskę w razie ogłoszenia równoczesnego z branką powstania) uznał się za Tymczasowy Rząd Narodowy i wezwał młodzież polską do broni.

Od tej pory wydarzenia potoczyły się znana koleją. Już po kilku miesiącach walki przetrwały w dniach lipcowych, ale wcześniej jeszcze nie widzimy już owej młodzieży, pełnej entuzjazmu, która spotykała się z sobą zarówno przy pracy organizacyjnej, jak i na polach walk. Dosięgły ją kule, bagnety lub stryczek wroga. Na arenie wypadków pozostawali krzykacze, ślepi czciciele rewolucji francuskiej, którym zdawało się, że Polska powstanie wówczas, gdy na polski grunt przelecają się hasła i sposoby działania Francuzów z końca XVIII w.

Na miejsce ofiarnej młodzieży polskiej, która usłała szybko trupami swemi kraj ojczysty, poja-

wiło się w organizacji powstańczej mnóstwo małych Maratów, Robespierre'ów, Fouquier-Tainville'ów, Saint-Justów, naśladujących niezręcznie swe prototypy i drapujących się w ich krwawe łachmany.

Wysunęli się też szybko w skład kierowniczych elementów powstania chrzczeni i niechrzczeni żydzi. Nie narażając się naogół na niebezpieczeństwa walki frontowej, obsadzili oni za to wiele poważnych stanowisk aż do stopni dyrektorów wydziałów włącznie, na których byli bardzo czynni. Działali tam: Karol Majewski, stojący przez pewien czas na czele Rządu Narodowego, Józef Piotrowski członek Rządu, utworzonego we wrześniu 1863 r., Aleksander Pawłowski, wchodzący do Trybunału Rewol., Józef Kwiatkowski, naczelnik Warszawy (zajmujący się później sprowadzaniem broni dla formacji galicyjskiej), Franciszek Orłowski, dowódca jednego z oddziałów żandarmerji w stolicy, Władysław Majewski (hrat Karola), komisarz woj. kaliskiego, Stanisław Rudnicki, znany pod nazwą Sawa, zaliczony przez M. Dubieckiego („Romuald Traugutt”, str. 218) do współpracowników komisji inkwizycyjnej rosyjskiej, Adam Majewski, bracia Niemirowscy, Bronisław Wołowski, Kaplińscy, Henryk Wohl, Artur Goldman i inni.

Nie więc dziwnego, że niezgoda zapanowała w powstańczych szeregach polskich. Do zgody bowiem nie mógł dopuścić element neoficki, wciskający się do organizacji. W tym czasie, gdy młodzież polska przelewała krew w beznadziejnej walce z przemożnym wrogiem, przewódcy Czerwonych rozpoczęli ostrą walkę z Białymi, która, przyczyniwszy się w Królestwie do dwukrotnych przewrotów w Rządzie, rozegrała się i w innych częściach porozbiorowych Rzeczypospolitej.

Już w maju 1863 r. uwydatniająca się w Rządzie Narodowym przewaga Białych doprowadziła ze strony Czerwonych do zamachu stanu, do którego waleńnie dopomógł naczelnik straży bezpieczeństwa Landowski, prawdopodobnie pochodzenia żydowskiego. Rząd Narodowy został rozpędzony, a bardziej oporni jego członkowie — uwięzieni. Hasło przewrotu wyszło z Krakowa, gdzie licznie zgromadzeni, skrajnie radykalni nikozemnicy wymieniaли publicznie nazwiska członków Rządu, z intencją, ażeby one doszły do moskiewskich uszu. Nie mogąc doczekać się chwili, gdy uda im się ująć ster powstania, wysłali oni na wiosnę 1863 r. morderców dla zabicia dwu najdoświadczeńszych członków Rządu. Zamiar, pomimo ich woli, nie przyszedł do skutku. Wówczas spiskowcy postanowili w Zielone Świąta wymordować wszystkich członków Rządu. I to się nie udało. W kilka dni potem chcieli napaść na salę posiedzeń w chwili, gdy obradowali tam członkowie Rządu z przedstawicielami opozycji. Mieli oni zamiar zaszytletować członków władzy. Przeszkodziło im jednak.

Wichrzenia neofitów nie wróżyły długiego żywota nowopowstałemu Rządowi. W krótkim czasie upadł on, ustępując miejsca nowemu, na którego czele stanął Karol Majewski. Do października stolica była świadkiem parokrotnej zmiany Rządu. Jeszcze raz Czerwoni doszli drogą zamachu do władzy. Posługując się terrorem zniechęcili oni do siebie niemal wszystkich. W krótkim też czasie doszedł do głosu Romuald Traugutt, którego namówił do objęcia władzy Czartoryski, przedstawwszy mu, że istnienie terrorystycznego rządu zniechęca mocarstwa Zachodu. Bohaterski dyktator nie był też wolny od „czułej opieki” wichrzy-

cieli neofickich. Mało było im tego, że mieli Epsteina w najbliższem otoczeniu tego męczennika sprawy narodowej. Widocznie nie nazbyt uległym okazał się im dyktator Traugutt. To też przy końcu 1863 r. utworzony został przez szumowiny radykalne t. zw. Komitet Rewolucyjny (którego przewodniczącym został Bronisław Brzeziński) dla przeciwdziałania zarządzeniom Traugutta.

Co się tyczy wrażenia, jakie wybuch powstania styczniowego wywołał na zachodzie Europy, było ono raczej niewielkie. Rozpoczęcie walki zbrojnej z najeźdźcą w Królestwie przeszło niemal niepostrzeżenie wśród społeczeństw i rządów Zachodu. Jan Czyński, Lubliner, Wołowscy, Klaczko i inni zbyt mało czasu mieli na poinformowanie prasy zagranicznej (będącej przeważnie własnością ludzi bliskich im pochodzeniem) o celach beznadziejnej walki, jaką toczył naród polski z Moskalami. Jako założyciele „*L'alliance polonaise de toutes les croyances religieuses*”, stowarzyszenia, mającego na celu pojednanie wszystkich wyznań religijnych na polskiej ziemi, zwrócili oni całą swoją energję w tym kierunku.

W Anglii wyrażano się o powstaniu jako o ruchu, skazanym zgóry na niepowodzenie. Również w Wiedniu nie doceniano doniosłości rozpoczynających się wydarzeń. We Francji, gdzie urzędowa i półurzędowa prasa już przedtem rzuciła gromy na Polaków z powodu zamachu Jaroszyńskiego na W. ks. Konstantego, potraktowano powstanie jako ruchawkę w stylu Mazziniego. W szeregu państw niemieckich sprawa konfliktu polsko-rosyjskiego zaciekała dopiero z chwilą zawarcia konwencji Prus z rządem carskim. Wystąpienia nielicznych dzienników na Zachodzie w obronie Polski spotykały się raczej z obojętnością większości prasy. Niektóre z nich nawet piętnowały rękome okrucieństwa powstańców. Jedynie w Prusiech przyjęto wybuch powstania jako wypadek pierwszorzędno znaczący. Już mianowanie W. ks. Konstantego namiestnikiem Królestwa wywołało silną reakcję w Berlinie. „Jest to wiadomość bardzo poważna — wypadek wielkiej, europejskiej doniosłości” — pisał publicysta Teodor Bernhardt.

Zdaniem prasy pruskiej, będącej w większości w ręku potomków oświeconych żydów niemieckich, którzy w r. 1819 — 1823 przyjmowali tysiącami wiarę chrześcijańską, celem Konstantego była korona królewska.

Tak pogodzona z Rosją Polska zmierzałaby do odzyskania Poznańskiego i Pomorza. Nastąpiłaby likwidacja partji Czerwonych, a kraj w oparciu o żywioły umiarkowane przekształciłby się w *secundo-geniturę* rosyjską. Rząd pruski więc, zdaniem dziennikarzy żydowsko-niemieckich, nie mógł zająć pozycji biernego świadka.

Wzruszająca zgoda zapanowała też między neofickimi przywódcami Czerwonych i prasą pruską, co do obrzydzenia w. ks. Konstantemu pobytu w Warszawie. Lepiej im widocznie dogadzał na zamku królewskim Niemiec, Teodor hr. Berg, niecierpiący Rosji i nazywający ją Chinami (M. Berg: „Zapiski o powstaniu polskiem”, t. III, str. 143). Wśród najbliższych współpracowników tego satrapy, będącego na żołdzie bankierów żydowskich (Berg: „Zapiski...” t. III, str. 424 — 428), widać było Niemców: Wahla i Brunninga oraz żyda Goldmana.

To też nie dziwnego, że miał tego dosyć nawet Kraszewski, redaktor kronenbergowskiej „Ga-

zety Polskiej". W powieści p. t. „Żyd” pisał on wyraźnie o nadziejach przywódców żydowskich, związanych z wypadkami 1863 r. Mówią oni tam: „...w powietrzu czuć proch, ale dla nas to nie złego... skorzystajmy z dobrej okazji. Zamiast bawić się w patriotyzm i t. p. mrzonki, myślny przedewszystkiem o sobie. Chłop polski nie lubi nas, wiemy o tem, ale chłop jest głupi — nie boimy się go. O szlachtę nam głównie idzie. Wmiesza się ona przez sam punkt honoru w awanturę, pójdzie do lasu, na krwawe pola, za co ją rząd ukarze, zniszczy, wytępi, wydusi, wywłaszczy, a wówczas dla nas droga otwarta... W każdym narodzie musi

się wyrobić ponad masy jakaś inteligencja i rodzaj arystokracji. My jesteśmy materiałem gotowym, my zawiadniemy krajem, a panujemy już przez giełdy i przez wielką część prasy nad połową Europy. Ale naszym właściwym królestwem, naszą stolicą, naszym Jeruzalemem będzie Polska. My będziemy jej arystokracją, my tu rządzić będziemy, kraj ten należy do nas, jest nasz...” Tak obliczali i rezonowali żydzi Kraszewskiego (ocierającego się o nich zbliżka) w chwili, kiedy ważyły się losy kraju.

STANISŁAW DIDIER

KONFEDERACJA BARSKA A CHŁOPI

CHŁOPI za Stanisława Augusta to $\frac{3}{4}$ części narodu. Cztery miliony głów, jeśli liczyć tylko rasowe polskie włościanstwo. W tem najmniej 2 miliony zdolnych do noszenia broni. Materiał według Batorowej proporeji wybranieckiej na stotysięczną armję, kiedy we wszystkich bitwach konfederackich tysiąc ćwiczonego żołnierza byłby siłą rozstrzygającą. Jak traktowali ten żywy skarb rycerze Baru?

Od samego początku, jeszcze przed rzezią Humańską nastawili się wobec niego nieufnie. Jakby nikomu z nich nigdy ani wywoły Leszczyńskiego o plebejach, ani Konarskiego nauki konwektorskie o planie wyzwolenia i uwłaszczenia chłopów, nie zawitały do głowy. Bo przecież to nikt inny, jak Stanisław August był posadzany o reformatorskie zamysły na korzyść chłopów; z jego kuźnicy wychodziły „Monitory”, wsączające owe ideje w umysły czytelników. Skoro tak jest, to ani Anna Jabłowska, ani filantrop i fizjokratą biskup Massalski przez czas przynależności swej do Baru nie okazał wobec chłopów żadnej słabości. Na dobitkę ktoś w kulminacyjnym punkcie Konfederacji Radomskiej rozrucił pamiętną ulotkę: „Suplikę, czyli projekt konfederacji chłopskiej, znalezionej w Torczyniu na jarmarku świętojańskim”. Porównyując ten projekt z późniejszą o kilkanaście miesięcy odezwą „na czerniawę”, można się było przekonać, że wprawdzie żadnej konfederacji, ani nawet rozgałęzionego spisku między chłopstwem niema, ale jest ktoś, może w kilku osobach, kto chciał najpierw wymusić na szlachcie (przez konfederację Radomską) różne ulgi dla włościan, a potem, kiedy pierwsza odezwa nie poskutkowała, gotówby wywołać w całej Rzplitej taką samą „czerniawę”, jaka zalała krwią Ukrainę; ten ktoś łudził chłopów życzliwym poparciem króla i biskupa unickiego lwowskiego, Szeptyckiego, ale poza Torczyn, t. j. za granicę Wołynia, wpływem swym nie sięgnął.

Zgroza przeszła po rzeszy szlacheckiej: więc tak daleko idzie wraza prowokacja? To już się wszyscy zaczniesz na śmierć konfederować? To może i konfederacja cygańska, na podobieństwo dyssydenckiej? Może konfederacja dam polskich? — pytali sprośni dowiecpiście. Zgroza się wzmogła, kiedy w delegacji sejmowej 1767 — 8 r. otworzyli usta za chłopami prymas Podoski i kasztelan wiślicki Jabłonowski. „Pomnażać swobody i uszczęśliwienie plemienia ludzkiego w najpośledniejszych stopniach i kondycjach”? Cóż to za pomysł nie-

poczytalny! Czczony staruszek Branicki nie może się uspokoić, aż przekona kręcącego się po Warszawie Mokronowskiego, że uwolnienie chłopów pograży Polskę w ostatniem nieszczęściu, bo wtedy upadną i wielcy i mali, upadnie rolnictwo, upadnie handel wiślany, zabraknie środków na obronę krajową. Cała Europa powinna czuć, aby rolnictwo nasze prosperowało na dawnej pańszczyźnianej podstawie. Twardowski uspokaja innego masona, Mniszcha, że na interes chłopów „żadną miarą zgody niemasz”. Jakże inaczej reaguje na te pogłoski światły stronnik dworu Dzieduszycki: „Możnaby i prawo umodyfikować względem ekstradycji, ażeby ta nie następowała, gdy się pokaże, że chłop tyranją pana przymuszony uszedł, i wiele innych rzeczy znalazłoby się ekonomice publicznej i prywatnej nieszkodliwych. Ale gdy się teraz prawa stanowią pod gwarancją, dałby Bóg, ażeby ich jaknajmniej było postanowionych”.

Wnet zmora znikła: „całość *dominii et proprietatis* dziedziców” zagwarantowała nam Rosja, jako niewzruszone prawo kardynalne; Repnin na inne reformy, oprócz odjęcia szlachcicowi prawa *vitalis et necis* nie pozwolił, a to z przyczyny, że wszelka istotna poprawa doli chłopskiej w Polsce pociągnęłaby do niej mnóstwo zbiegów z za rosyjskiej granicy i „pomieszczyk” rosyjski nie miałby z czego płacić podatków.

Po rzezi ukraińskiej względność dla pospółstwa wydała się wielu skostniałym mózgom jeszcze bardziej podejrzana niż przedtem: przecież Gontę i Zeleźniaka podburzył nikt inny jak sam Stanisław August! Oto opaczne pobudki, dla których Bar, tak chętnie powołujący się na wzory tyszowieckie i tarnogrodzkie, nie powołał chłopów polskiego do obrony wiary.

Jeśli do mieszczan rzadko przemawiano jak do obywateli, to chłopów poprostu przystawiano do komend, jako żer armatni: nawet ową milicję sołtysów, powołaną w pierwszym uniwersale barskim wyobrażać sobie należy nie jako uzbrojonych chłopów, ale jako rekruta danego przez tytularnych sołtysów, szlachtę, po dawno dokonanych skupie sołectw. Rosjanie też, dobrze orjentując się w stanie rzeczy, przez cały czas wojny unikali kroków, któreby gniew ludu polskiego na nich obrócić mogły: tem się tłumaczy ich względnie ludzki stosunek do mas pracujących, a nie walczących, stosunek, który ustawał jedynie w razie przewidywanych szturmów na konfederackie warownie: wówczas Kreczetnikow, Drewicz, czy Suworow, jedna-

kowo pędzili setki chłopów z drabinami i faszykami pod mury, ścieląc z ich trupów pomost dla szturmującego żołnierza.

Lud znosił tę niewolę z tępym fatalizmem, i nie widać, czy zdawał sobie sprawę z różnicy między obowiązkiem poświęcenia życia dla sprawy polskiej i katolickiej, a koniecznością umierania na rozkaz Moskala czy dyssydenta. Gdyby nie utyskiwania Drewicza, że cała ludność współczuje konfederatom i ostrzega ich przed niebezpieczeństwem, możnaby mówić o moralnej neutralności $\frac{3}{4}$ części mieszkańców Polski wobec wojny o niepodległość.

Oczywiście zdarzały się wyjątki, ale te się — przynajmniej w polu naszego widzenia — równoważą. Przeważałyby nawet wyjątki ujemne, gdyby nie to, że wiele z nich, jako pochodzących z dzielnic nie czysto polskich, należy eliminować. Plenipotent Mokronowskiego w starostwie tłumackim (Ruś) nie może nakazać ludziom złożenia żądanej przez konfederatów kontrybucji, bo gdyby tylko chłopom to wspomniał, „gotowy bond uczyniliby, tak są przeciwni konfederacji, a do tego o mil tylko stąd pięć w Buczaczu i Podhajcach znaleziono przygotowania chłopskie do bontów, z drugiej strony w górach opryszkowie”: aż strach bierze na myśl, co nastąpi, kiedy Rosjanie odejdą... Jednocześnie w Mściławskim bez buntu się nie obeszło, ale go szlachta sflumiła. W Zaleszczykach chłopci królewscy prosili rządce, by im pozwolił uczynić związek pod komendą Petra Łopatyńskiego mieszczanina, przeciw konfederatom; rządca „obiecał w nagrodę szubienicę” i z księdzem bernardynem wyperswadował im ruchawkę, za nic jednak nie ręczy, jeżeli przyjdą konfederaci. Konfederat Twarowski przyszedł i radził sobie też szubienicami. Ferment ten sięga aż w Sanockie, i tedy zaraża polskie Podkarpacie: jakiś Dubiecki siedzi w „górach, wzruszenia ludu robotę na siebie wzięwszy”; może to miała być agitacja konfederacka, ale bardzo w takim razie niewdzięczna, bo chłopstwo omal nie rzuca się na Marcina Lubomirskiego, rozwścieczone jego exorbitancjami, a pod Lanckoroną dochodzi do zaburzeń, które ponawiają się w czerwcu 1770 r. w „zhukanych” trzech wsiach Łódzkiej, burgrabiny krakowskiej. Do dziś dnia pozostało w pewnych okolicach Małopolski Zachodniej bardzo cierpkie wspomnienie o „kondrakach”, bardzo tu naturalne wobec najdłuższej i najcięższej eksploatacji tego kąta Polski na rzecz powstania; wolno też mniemać, że jeżeli Drewicz i towarzysze nie zdołali dogadać się z szemrzącym chłopstwem polskim, to głównie dzięki różnicy wлары: do kmiotków bądź co bądź łatwiej trafiła ksiądz bernardyn, niż łupieżca Częstochowy.

Dużo zależało, rzecz prosta, od taktu przywódców konfederackich i od animuszu chłopca. W Krakowskim początki były lepsze, niż dalszy ciąg werbunku: górali sporo poszło i do księcia Marcina i do Joachima Potockiego i do Pułaskiego. Krótkotrwała pierwsza Konfederacja lubelska 1768 r. wybuchła przy aplauzie i radości „podłego” pospólstwa wiejskiego. Pobożna Żmudź dostarczała chłopów-ochotników Stefanowi Medkarscy. Również bunt Szawelski 1769 r. nie miał bynajmniej charakteru antypolskiego; tło tego buntu było niewątpliwie gospodarzo-społeczne. Kiedy Antoni Tyzenhaus, podskarbi nadworny litewski, dążąc do zwiększenia dochodów z eko-

nomij, wprowadził w nich pańszczyznę na miejsce tradycyjnych czynszów, miłośnicy „wolności czynszowej” stawili czynny opór. „Zrazu 13 lipca 1769 r. pod wodzą Tomasza Lewickiego w Zagorach, później pod wodzą wójta włości Janiskiej Michała Pawgiewicza, Szymona Aleksandrowicza i innych w Janiszkach i Szawlach w liczbie około 2000, przeważnie czeladzi i parobków, powstał lud.. zmuszał do przysięgi na wierność swoim przywódcom, wzięł oficjalistów, podstarościch i ekonomów królewskich, napadał dwory, magazyny i karczmy” (St. Kościółkowski). Aleksandrowicz, szlachetka i bakałarz tytułował siebie marszałkiem; wspólne przeciwieństwo do króla zbliżało chłopów do konfederacji, w tym też kierunku działało niższe duchowieństwo, spokrewnione z buntownikami, a na Żmudzi, jak wiemy od jednego z panów rządce, „lepiej chłopci wierzą w księży, niż w mających rzady oficjalistów”. Stanisław August uważałby sobie za hańbę, „żeby innych panów poddani szczęśliwsiymi się nazywali od królewskich”, użył więc wszystkich sposobów, aby bunt przez komisarzy łagodną perswazją uspokoić i krzywdy naprawić, ale „wolności czynszowej” nie przywrócił. Swoją drogą czuwał nad uśmierzeniem Żmudzinów i żołnierz królewski polski, i żołnierz kurlandzki, i zdaleka żołnierz rosyjski, paru winowajców stracono, kilkunastu obito; niestety, nic nie wiadomo o zainteresowaniu, mianowicie o życzliwym zajęciu się tą sprawą, władz konfederackich. Księża działali dalej; lud burzył się też przy budowie kanału Ogińskiego, spotykano „najgorszą hołotę” w obozach Kossakowskiego. Opowiadano — bo niejednemu chciało się w to wierzyć, — że podkomorzy łęczycki uzbroił 2000 chłopów w cepy, jakiś Korsak w Połockiem miał zbrojnych poddanych aż 4000.

Oprócz górali szczególną otuchą napawali szlachtę kurpie, jako potomkowie tych, co i Szwedom Karola XII dali się we znaki i z Moskwą w 1735 r. w obronie Leszczyńskiego walczyli do ostatka. Ma swoich kurpiów, „widać zawczasu zwerbowanych, a „cudacko uzbrojonych” Joachim Potocki, usiłuje ich zagrać Dzierżanowski; są w konfederacji ciechanowskiej (aż 600) i wyszogrodzkiej pod Sawą, oraz Trzeciakiem. Widocznie doświadczenia były z nimi dobre, bo i podczaszy wielkie w nich nadal kładzie nadzieje i Dumouriez na podstawie informacji biskupa Krasieńskiego, którego rodzina miała dobra, obejmujące część Zielonej puszczy, zachwała „*les Kourpiks, espèce de sauvages, bons tireurs, fameux dans la guerre contre les Suédois*”. Doskonały to materiał na piechotę, gdyby z oblecanych przez biskupa 6.000 można było dostać choć $\frac{1}{3}$ część. Bądź co bądź, to pokolenie kurpiów nie zaznaczyło się tak pięknie w walce o niepodległość, jak jego ojcowie i dziadowie: może zrażały hasła antykrólewskie konfederatów, może zabrakło dodatkowej podnieoty, to jest krzywd od zagranicznego żołnierza.

Czy były jakie sposoby na pozyskanie chłopów? Sposób minimalny polegałby na ludzkim obchodzeniu się z oraczem. Demokrata Dzierżanowski uprzedza starostów i dzierżawców w Małopolsce (4 marca 1769), że kwarty każe ściągają prosto od dziedziców, aby nie uciażać poddaństwa. Tę samą zasadę, że płacić mają „nie gromady, lecz dwory” próbuje stosować do wszelkiego podatku grupa gobułowosko-muszyńska w uniwersale 9 sierpnia 1769, grozi nawet egzekucją,

ale za odmowę, nie za przerwianie podatku na chłopą. Generalność w Sancitach zaczyna od bardzo głębokich westchnień, jakby chciała odnowić śluby lwowskie Jana Kazimierza: „Wyciśnione rozmaitymi gwałtami łzy i płacz uciemiężonego ludu ściąga na nas sprawiedliwy gniew i karę Najwyższego”, aby zakonkludować skromnie, że rabowników ukarze i pozwoli na nich chłopom dochoźić zadośćuczynienia, owszem, każe spisywać zawczasu wszelkie krzywdy i nikomu nie da zaślaniać się amnestją. Szefowie barscy też zaczynają od mocnej motywacji: że przecież od dobrobytu chłopą zależy wpływ podatków do skarbu, regularna płaca wojska, ba, nawet pewność intrat i przychodów szlacheckich; gdyby te wszystkie pobudki i przyczyny nie miały u nas względu, wiara, która dzieła konfederacji jest gruntem i celem, uczy nas, że bliźnimi naszymi jesteście, że krzywdy wam czynić nie godzi się, że Bóg nie błogosławiłby dziełu naszemu, gdyby czyny nasze płacz ludzki ściągnąć miały.

Dlatego starano się chronić lud ukraiński w r. 1769 przed braniem w jasyr, i dlatego konfederacja pragnie wszystkim przywrócić spokój i bezpieczeństwo. Generalność czuje, że tego mało, więc obiecuje 3 marca, za szczęśliwem da Bóg uspokojeniem, „partykularny na krzywdę ludu względ mieć”, pokrzywdzonym nagrodę obmyślić, a najbardziej poszkodowanym miejscowościom przyznać ulgi w podatkach.

To wszystko. I to trochę to były słowa, kiedy w czynach stare, złe nałogi wybuchały nietylko w stosunku do własnych poddanych, ale czasem nawet wobec węgierskich Słowaków. Nie chciano dostrzec tego, co od początku widział Repnin, że „podłość” w patriotycznych nastrojach wszędzie solidaryzuje się z drobną szlachtą, nie doceniano faktu, który zbytnio uogólnia krótkowzroczny

ksiądz Pstrokoński: że „lada chłystek” „najgodniejszych ludzi chciał mieć pod nogami”.

Trochę mniej wygadywania na machjavelizm społeczny Stanisława Augusta, mniej względu na najpożądniejsze koła ziemiańskie, śmielsze spojrzenie naprzód, więcej wyczucia dla tego pospólstwa, co w Warszawie przeklinało Kuźmę i Zarembe, na Mazowszu ubóstwiała Sawę, na Litwie garnęło się do Kossakowskiego, a poczuły się pewno Drewicz w Polsce, jak pan Bohdanowicz na Ukrainie, bo powstanie stałoby się choćby w części ludowem: lud w r. 1768 dojrzał do Kilińskiego i Bartosza, tylko szlachta nie dojrzała do Kościuszki. Sedno rzeczy tkwiło narazie w oparciu armji na „doskonałym”, według Dumourieza, materiale chłopskim, ale nie według polskiego systemu, gdzie pacholek w wojsku pozostawał sługą dziedzica, lecz według recepty zachodniej, na zasadach równości służby i awansu. To była rzecz najpilniejsza, ale na dziś: na jutro trzeba było się pogodzić z faktem, przepowiadany przez Dumourieza, że 8 milionów ludu wyjść musi z pod niedorzecznego panowania 800 tysięcy szlachty, że przy systemie poddaństwa Polska nie obroni niepodległości, że dopiero po emancypacji chłopów zakwitnie rolnictwo i rzemiosło, a ludność się rozmnoży; że póki to nie nastąpi, każdy najeźdźca, czy rozbiorca Polski potrafi za wzorem 1768 r. wygrywać chłopą przeciw klasie panującej.

Tak uczył konfederatów Dumouriez w r. 1771. A w dwa lata później wcale nie najgłupszą z konfederatek, Teofila Sapieżyna, kuzynka Anny Jabłonowskiej, czytając o wystąpieniu Feliksa Orzechewskiego na sejmie w obronie chłopów, notuje w swoim dzienniku, że poseł krakowski odznaczył się dobrze, ale potem ujmował się za chłopstwem, czem oburzył izbę.

WŁADYSŁAW KONOPCZYŃSKI

NAD „NORWIDEM” WASILEWSKIEGO

(Dokończenie)

II

O NORWIDZIE, jako człowieku prywatnym, wiemy bardzo mało. Nie idzie tu oczywiście o sensacyjki biograficzne, ale o tę stronę charakterystyki, któraby na swój sposób dawała nam zrozumienie indywidualności. Nieliczne przechowały się wspomnienia o jego usposobieniu, o sposobie bycia, o jego stosunku do przyjaciół czy znajomych.

Ja osobiście miałem sposobność słyszeć nieco opowiadań Zygmunta Sarneckiego, który dość blisko, zdaje się, znał Norwida z czasów jego paryskich, po roku 1863. Sarnecki był człowiekiem o wykwiintnej umysłowości i niemniej wytwornych manierach, był niepospolitym smakoszem literatury i sztuki wogóle, ale miał tę przywarę, że niewielu swoich znajomych prawdziwie lubił. Należy wyrozumieć tę cierpkosć jego uczuć: w młodości roził o sławie literackiej, rezultaty zawiodły go, — pan z panów, w młodości bogacz, był jednym z tych „co milion starli do szeląga”, starosć upływała mu niemal w nędzy. Doznał też wiele niedziękności ludzkiej. To wszystko złe go uspo-

sobiało do bliźnich: rad bywał wyszukiwać w nich wady i słabości. Chętnie we wspomnieniach o ludziach cytował to, co ich obniżało. Nigdy jednak nie miałem wrażenia, by uciekał się do zmyśleń dla zadośćuczynienia tym swoim słabostkom.

Norwid w jego opowiadaniach przedstawia się przede wszystkim jako typ krańcowego abnegata. Przechodzić miał wielotygodniowe okresy takiej apatii, że najpiękniejsza nawet pogoda na dworze nie potrafiła go zwabić, by wyszedł z mrocznej swojej izdebki paryskiej. Noce i dni trawił nieruchomy w łóżku i nie było rzeczy, któraby go zdolna była wyrwać z tej niemocy. Ciasna pokoiczyna, w której mieszkał, przedstawiała obraz nietylko ubóstwa, ale i zaniedbania. „Niechlujny, jak wszystkie mazury” — mawiał o nim miano pośród znajomych na emigracji. Domowa odzież jego i bielizna przedstawiała podobno rozpaczliwy stan nieschludności. „Gdym później poznał „Obłomowa” — dorzuczał Sarnecki — „to ten bohater powieści Gonczarowa, całe miesiące spędzający na podziurawionej kanapie, w wiecznym mroku i brudzie, żywcem mi przypominał Norwida. Podobieństwo tem głębszej nabierało siły, że i Norwid, jak Obłomow

nawet w większym jeszcze stopniu przywodził sobą refleksję o specyficznym szlacheckiej dekadencji”.

Tyle Sarnecki. Wręcz odmienną sylwetę rysował mi Władysław Mickiewicz w swoich nieporównanych dyktetykach emigranckich. Znał Norwida głównie z salonów — i co ciekawe, znał go w tych samych czasach, które wspominał Sarnecki. W salonach tych Władysław Mickiewicz bywał czasem z muśsu, Norwid bywał tu chętnie. Nienagannym strojem, elegancją bycia, wytwornością ruchów reprezentował typ zubożonego markiza. Znał był na salonach z kostywnego dowcipu. Zachował Wł. Mickiewicz w pamięci jedno z jego *bons mots*:

Był jakiś bal. Powszechną uwagę zwracała pewna księżna, slicznie ubrana, piękna i wyzywająca. W *haute volée* paryskiej opinia pomawiała ją o lekkość obyczajów. Ktoś, od kogo Wł. Mickiewicz miał tę relację, był też na owym balu i stał w pewnym momencie w kącie salonu tuż obok Norwida. Obaj przypatrywali się nieustannie szturmowi tancerzy, dobijających się o *tour* walca z nadobną księżną. Norwid wskazał mu ją wzrokiem:

— Jaka szkoda, że to jest księżna X, a nie księżna Radziwiłłowa.

— Dlaczego?

— No, bo jakże po radziwiłłowsku by to brzmiało, że każdemu z danserów może w zgodzie z prawdą powiedzieć: „panie kochanku”.

Władysław Mickiewicz podkreśla, że na salonach paryskich wywoływał Norwid wrażenie zubożonego markiza. Zda się, że bardz o to, by w sociecie czuć się równym między równymi. Bywał tu nie tyle jako wybitny artysta, ile jako potomek królewski, po kądzieli z Sobieskich. Przypominał w tem innego poetę-arystokratę: Puszkina. Gdy autora „*Jewgenja Ontiegina*” ktoś zapytał, czy jest poetą, — Puszkina odpowiedział: „jestem szlachcicem rosyjskim”.

W każdym razie Norwid lubił świat arystokracji, na co zwrócił uwagę Wasilewski. Ten świat snobizmowi, to jego potrzebie wytworności. Nie zawsze w sociecie spotykał wytworność wewnętrzną, ale zawsze miał tu namiastkę: dobre maniere, które Norwidowi też nie były rzeczą obojętną. Mam wrażenie, że chętnie jednak chciał w arystokracji widzieć i piękno ducha. „Pierścień wielkiej damy” poza wszystkim, jest też pokłonem w stronę wielkoduszności ludzi dobrze urodzonych.

A teraz:

Jeśli obie relacje z biografii Norwida: relacja Sarneckiego i relacja Wł. Mickiewicza są jednakowo wiarygodne — to jak powiązać sobie w jedną i tę samą organizację psychiczną Norwida z zabrudzonego barłogu i Norwida, eleganckiego salonowca?

Tu nam nie sposób obyć się bez wnikliwego naświetlenia, jakie przeprowadził Wasilewski, a które wykrywa owo rozprysnięcie się instynktów Norwida, ową jego dwoistość natury. Czy to było w Norwidzie przyrodzone, czy los tragicznych przeżyć duchowych wyłobił w nim tę rozpadlinę — to oczywiście wymagałoby bacznych studiów biograficznych, ale samo postawienie sprawy w książce Wasilewskiego wydaje mi się jedną z najważniejszych zdobyczy, jakie mamy w norwidologii.

Nie wszystkie przykłady, wskazane przez Wasilewskiego, odpowiadają ściśle wykrytemu przez

krytyka sekretowi twórczości norwidowej, ale nie ulega wątpliwości, że całe kompleksy zagadnień, nawet „zagadek” Norwida dadzą się jasno rozwiązać zasadą tego rozpadu poety na dwóch jakby ludzi.

Nie opuszczajmy terenu owej, mrocznej, zaśmieconej izdebki paryskiej, dokąd Zygmunt Sarnecki przychodził odwiedzać Norwida. Widzimy tu poetę zapadłego w skrajną apatię, nieczułego nawet na brud, jaki go zewsząd otacza. Jest to po roku 1863, — ileż lat ma wówczas Norwid? — czterdzieści kilka. W naszych czasach powiedzieliby się o nim: młody człowiek, — dawniej człowiek w tym wieku nie uchodził już za młodego, ale jeszcze bądź co bądź nie stary. Więc nie starcza prostracja, ale też już i nie młodzieńcza, przemijająca neurastenja; — jakiś upadek woli dogłębny, jaki miewają alkoholicy, narkomani. On nie był ani jednym, ani drugim: z jakichś raczej psychicznych klęsk to znieczulenie nerwów aż do samoprzekreślenia się wewnętrznego. — Ale teraz sięgnijmy do jego twórczości: wszakże i w tym okresie znajdziemy jego wiersze o najwyższem napięciu ducha, a wśród nich niejedną, który jest wołaniem zwycięskiem, nauką energii moralnej. Czy można sobie wyobrazić, by te utwory wysnuwał z siebie ten sam człowiek, którego Sarnecki widywał zapatyczniałego do kresu jaźni? Nie, to jakiś inny, drugi, wedle słusznych uwag Wasilewskiego, niespodziewanie drugi Norwid to tworzy. Drugi Norwid, nie jakby nie mający wspólnego z Norwidem niższych kondygnacji osobistego bytu.

W tej ilościowo i jakościowo bogatej twórczości, znajdujemy czasem skończone arcydzieła od pierwszego do ostatniego słowa utworu. Częściej jednak, znacznie częściej, trafi się dzieło, w którym doskonałością jest jakiś fragment całości, jedna jakaś strofka, czasem jedno jakieś hypnotyzujące powiedzenie, aforyzm. Reszta utworu to jakby niedokształcona mgławica. Niektórzy z nowoczesnych estetów i teoretyków twórczości, których cytuję np. prof. Cywiński w „Gwiazdztwym diamentcie Norwida”, usiłują twierdzić, że sprawa jasności danego autora to sprawa subiektywnych zdolności rozumienia u danego czytelnika. Oczywiście, że senegalczyk może nie zrozumieć przełożonej mu na jego język poezji klasycznie jasnej europejczyka, ale nie jest subiektywną li tylko sprawą danego czytelnika niezrozumiałość Norwida, gdy ten sam czytelnik rozumie jednak Mickiewicza, Słowackiego, Byrona, Szyllera. Tego nie da się odwrócić: Norwid w wielu wypadkach nie potrafił jasno wyrazić swojej myśli. Czuje się, że nie może on znaleźć słowa, albo też związku słów, któreby w pełni, a przynajmniej w przybliżeniu oddały zamierzoną ideję. Staje znowu przed nami obraz dwu ludzi: jeden Norwid, Norwid-projektodawca, który ma w głowie niepospolite myśli — i jakby Norwid drugi, powołany do wybudowania z tego planu budowli, Norwid-wykonawca, nieudolny w porównaniu z tamtym. Dwaj ludzie tak od siebie odlegli, jak ten pełen świetności i blasku Norwid z salonów, z najwyższego świata, i ten sam, a tak inny Norwid z ciasnej, zaśmieconej izdebki, tygodniami nie mogący się podźwignąć ze swej nieruchomości, ze swej niemocy woli, nieudolny wykonawca swojego życia.

Dwoistość Norwida wypowiedziała się i w gatunku jego twórczości.

Wiele naszych nieporozumień co do jego produkcji pisarskiej wypływa z tego, że my w nim szukamy takich samych złóż artystycznych, jakie odnajdujemy np. w Mickiewiczu, czy innych twórcach czystej krwi poetyckiej. Norwid zaś jest poetą poniekąd w takim samym znaczeniu, w jakim był na przykład Fryderyk Nietzsche. Jeden i drugi z poetycko urządzonej duszą przystępował do tematów, które równie dobrze zająć mogą, a nawet muszą dyscyplinowanych w swojej metodzie uczonych: historyków, historjografów, socjologów, psychologów grupy, etnologów, religjoznawców. Tylko Nietzsche, ani trochę nie głębszy od Norwida i nie bardziej dalekosiężny w widzeniach wszelkich perspektyw danej rzeczy, — był jednak lepiej podmurowany naukowo i prozą swoich pism bliżej się trzymał gruntu swoich zainteresowań. — Norwid, katolicki tak, jak tamten był antychrześcijański, w rozmaitości swoich błysków może nawet z przyrodzenia szerszy od Nietzschego, nie wychodził ze szczybla dyletantyzmu, a forma jego wypowiedzenia się: mowa wiązana dezorjentowała i dezorientuje nasze wrażenia.

Było właściwie coś staroświeckiego w Norwidzie, gdy wierszem wypowiadał sprawy, przynależne zagadnieniom wiedzy. Jest tu jakieś echo czasów renesansowych, kiedy nawet traktaty medyczne pisano rymem. Ale forma wersyfikacyjna zobowiązywała Norwida nie tylko co do formy, ale i co do idei. Mimowoli narzucała się tu poetycka dowolność w rozumowaniu, które się prosiło o ścisłość formuły¹⁾. Metodyk-myśliciel rywalizował z wizjonerem, a rzadko się z nim zespałał w syntetyczną całość. W poematach Norwida można wykazać, jak jeden z nich naraz milkł, by do głosu mógł dojść drugi. Ale zawsze to było *solo* jednego lub drugiego, — rzadko napotkać można harmonijne wzbogacanie się jednego drugim. Nie mamy w nim tej jedności stylu, którym rozporządzał Nietzsche.

¹⁾ Nie odrzeczy tu będzie zauważyć, że znowu liryka Norwida często wyraża się jakby w kodyfikujących formułach, przypominających wnioski wiedzy ścisłej.

Ja osobiście czułem w Norwidzie tę tysię rozgraniczenia między Norwidem dyletantem-uczonym, a Norwidem poetą, ale dopiero po przeczytaniu dzieła Wasilewskiego zrozumiałem, skąd się wzięło to niedospolenie jednego Norwida z drugim.

Oczywiście, że i ja się mogę mylić i Wasilewski też. Ale poznawanie każdego fenomenu twórczego, a tembardziej tak skomplikowanego, jakim był Norwid, musi iść po drodze ciągłych prób zrozumienia. W tej wędrówce do celu omyłka nieraz może być taksamo owocna, jak i natrafienie na właściwy kierunek. Balsamy adoracji mogą jedynie mumifikować danego twórcę, ale życia mu nie dadzą. Wasilewski wielokrotnie kłół Norwida swoim tonem analizy — tego się zaprzeczyć nie da — ale kto wie, czy w skutkach nie będą to takie nakłócia, jakich niezbędnie wymaga zastrzyk, zawierający życiodajne leki. Dlatego też ta książka, która już tak zainteresowała literatów i publiczność, która stała się najbardziej dyskutowanym wydarzeniem w piśmiennictwie ostatnich miesięcy, może o sobie powiedzieć, że spełniła swoje zadanie: Norwid wyjdzie z niej żywszy niż był dotychczas.

Nie pisałem tutaj recenzji o „Norwidzie” Wasilewskiego, nie przechodziłem więc rozdziału za rozdziałem zawartości książki, pominąłem cały szereg nader ważnych uwag i wniosków, któremi dzieło to jest wypełnione. Starąłem się wskazać kilka spostrzeżeń tej niecodziennej pracy, a wskazawszy, rozwinąć je do tyła, by unaocznic, jak nieraz kilka słów krytyka tej miary, co Wasilewski, mogą się w naszych refleksjach rozrosnąć w obszerną dysertację, bo nawet w tych kilku słowach mieści się, jak w ziarnie, drzewo rozłożyste konsekwencji. Chcę więc zachęcić czytelników, by rozczytali się w „Norwidzie” naszego krytyka i jaknajgruntowniej dzieło przemyśleli. Wyjdą z lektury bogatsi w znajomości nie tylko Norwida, ale i sposobów wczuwania się w duchową twórczość wogóle.

ADAM GRZYMAŁA-SIEDLECKI

OTOKAR BRZEZINA

APOSTROFA JESIENNA

Lazurem świetne dni, dni jasne października,
kiedy gałęzi bronz w pożodze liści znika,
co podmuchami wichru gnane z drzew jesienią,
niby ze złota kute błyszczą się i mieniają!
Z orzeźwiającej waszej promienieje woni
tehnienie uczuć i ranków zgasłych w czasie toni;
południ złotych blask, gdy słońca dech głęboki
swoją żar w dojrzałych plodów czerstwe zmieniał soki
i dusza szczodrych wonią zmierzehów, co zgorzały
w zachodu purpurowych ogniach. Z was chorwały
świergotów, ćwierkań, kwileń brzmia, choć ptaków rzesza
odlotna zmilkła już. W was zlewa się i miesza
uwiedliwych kwiatów sen, szum zbóż, co legły zżęte,
wyblakłych światłocieni brzaski uśmlechnięte,
motylów martwych już, ponowne w przestwór wloty
i zamęt istot, zgasłych w dnia kapieli złotej.

Tajemnych sił jesteście konającym tętnem,
które już w uciśnieniu legły beznamiętnem.

Jesienne, modre dni jarzące się światłiście,
kiedy gałęzi bronz płomienne zdobiją liście,
co podmuchami wichru gnane z drzew jesienią,
niby ze złota kute błyszczą się i mieniają!
Pałajcie i gorejcie w chłód październikowy
rozbłyskiem barwy płowej, złotej, purpurowej
i rozlewajcie śmierć, co dżdżem z światłości waszej,
wycieka jak z rzeźbionej w chłodnym kruszcu czaszy.
Do głębi duszy mej woń wasza odcieżała
niby zabójczy opar wpełzła i została.
I jak piolunem z waszych poję się przestworów
konaniem włokiem życia, kwiatów i kolorów.

Przełożyła z czeskiego IRENA VOREL-CZEMPIŃSKA

NA WIDOWNI

Czy Wierusz-Kowalski był „osamotniony”?—Ówczesny stan malarstwa polskiego. — Kraków i Monachjum.— Obyczaj mikromanji.— Wielcy ludzie, którym naród przeszkażda.—Szkodliwa propaganda.

W „PRZEWODNIKU” po urządzonych właśnie w „Zachęcie” wystawie dzieł Alfreda Wierusz-Kowalskiego, w popularnym zyciorysie, zamieszczonym na wstępie katalogu, poucza się czytelnika, iż malarz ten „czuł się w kraju osamotnionym artystycznie”, a przyczyną „osamotnienia” był, oczywiście, „bezwład” powszechny i „brak kulturalnych ambicji”, który „nigdy w takiej potwornej karykaturze nie wystąpił”, jak w epoce największego rozwoju talentu artysty. Nie dziw też chyba, że „osamotniony” w Polsce, Wierusz-Kowalski zamieszkiwał aż do końca życia w Monachjum, tam znalazł „atmosferę”, „środowisko”...

Zazwyczaj nie wnika się zbyt skrupulatnie w treść okolicznościowych notatek, uważniejszy wszakże czytelnik, zastanowiwszy się nad owym „osamotnieniem”, musi dostrzec, iż coś jednak wyda się w takim postawieniu sprawy nie w porządku... Wszak to półwiecze, w którym żył i malował Wierusz-Kowalski (ur. 1849—†1915) było — na przestrzeni tysiącletnich naszych dziejów — okresem najświetniejszego rozkwitu twórczości malarskiej, jednoczesnego wyrojenia się całej gromady wielkich, bujnych talentów, znakomitych mistrzów, których imiona będą na zawsze stanowiły chwałę polskiej sztuki. Wszak za jego życia właśnie, nieco starsi albo młodszy od Wierusz-Kowalskiego, tworzyli w Polsce: Matejko i Wyspiański, Malczewski, Stanisławski, Chełmoński, Pruszkowski... Wystarczy przejść się po Nowej Pinakotece monachijskiej i po galerji Muzeum Narodowego w Krakowie, ażeby odpowiedzieć bez wahania, gdzie w owej dobie sztuka malarska wydawała dzieła głębsze, potężniejsze. Któż w Monachjum z pomiędzy rówieśników Wierusz-Kowalskiego, umiałby stworzyć „Hold pruski” albo franciszkańskie witraże?

Stolica Bawarii była podówczas — a jest bodaj w znacznej mierze i dzisiaj — miastem *Kunsthandler*’ów, wielkim jarmarkiem na dzieła sztuki, zaopatrującym Europę i Amerykę. Czy wszakże takie właśnie środowisko musi być uważane za najlepsze, jeżeli chodzi o stworzenie warunków, sprzyjających rozwojowi talentu twórczego artysty? Wierusz-Kowalski jest tu sam przeciw najbardziej pouczającą odpowiedzią: łatwość sukcesu i potrzeby rynku — czyż nie skłaniały go do powtarzania własnych pomysłów, w coraz to słabszych i coraz bardziej na sposób rzemieślniczy traktowanych odmianach i replikach?

Omówiłem tu pokrótce wstęp do katalogu „Zachęty”, nie w tym celu bynajmniej, żeby dokużyć autorowi, lecz — naodwrot — by go raczej usprawiedliwić. W gruncie rzeczy nie on bowiem nie uczynił innego, jak tylko, z całą niewątpliwie poczciwością, zastosował się, jak umiał najdokładniej, do powszechnie dziś u nas przyjętego i obowiązującego obyczaju. Właśnie dlatego też rzecz zasługiwała na poruszenie, gdyż, chociaż drobna,

stanowi ilustrację zjawiska, mającego znacznie większą doniosłość i w rozmaitych obserwowanego dziedzinach. Obyczaj tu wspomniany jest prosty całkiem i ogólnie znajdujący uznanie: polega na tem, by pochwalając jakąś jednostkę wybitniejszą, koniecznie przytem dodać cośkolwiek pogardliwie ubliżającego o narodzie.

Gdy kto więc chce powiedzieć komplement czy uczcić czyjeś zasługi, za obowiązek uważa sobie oczernić przy sposobności społeczeństwo, by na tem tle osoba, o którą chodzi, w tem okazalszej ukazała się postaci. Tak tedy z reguły w społeczeństwie musi panować „bezład”, „brak ambicji”, człowiek wybitny musi się naturalnie czuć „osamotniony” i t. d. Przeciętny polski inteligent dzisiejszy przyzwyczał się patrzeć na dzieje swojej ojezyny, jako na serję zjawiających się od czasu do czasu wielkich ludzi, którym naród zawadza, jest przeszkodą w wykonywaniu ich dzieła, i wogóle ich „nie rozumie”, „nie docenia”.

Ten sposób myślenia, tak charakterystyczny jako objaw mikromanji narodowej i bezsprzecznie będący jednym z następstw doby niewoli, w wieloraki sposób odbija się na naszym życiu społecznym i niemałe wyrządza szkody. Skutki jego widoczne są i w kształtowaniu się stosunku do przeszłości narodu i pojęć o naszym położeniu teraźniejszym.

Oddala to nas więc duchowo od przeszłości własnej, utrudnia należyte jej rozumienie, jeżeli wielcy ludzie dziejów naszych nie ukazują się nam jako wcielenie cech narodowych, najpełniejszy, najdoskonalszy wyraz polskiego typu, ale — odwrotnie — stają się wobec niego czemś poniekąd przeciwnym, jakgdyby zaprzeczeniem charakteru narodowego i stąd też w stałym, nieuniknionym będący ze zbiorowością konflikcie. W takim ujęciu, nie znajdując w swojej historii siebie, naród — rzecz prosta — przestaje się nią serdecznie interesować, nie współżyje psychicznie z pokoleniami dawnymi, obojętnie dla przekazanego przez nie dziedzictwa.

Podobnie i obecnie, niełatwo uwierzyć, że źródłem siły staje się dla narodu przeświadczenie, iż jest on gorszy niżeli inne, i że to przekonanie wydobędzie zeń *maximum* energii twórczej, wykrzesze najwięcej entuzjazmu. To też trudno bez melancholji zastanawiać się nad faktem, że ta właśnie propaganda mikromanji jest nieomal jedyną sugestją, jaką od lat, z wielkim nakładem środków pieniężnych i pracy, narzuca się społeczeństwu polskiemu, w szczególności zaś najmłodszej jego generacji. Ileż wysiłków robi się np. w tym celu, aby wbić w głowy, że poprostu cały naród polski był upodlony, że nikt przed wojną nie pragnął u nas odzyskania niepodległości, poza „Nim jednym” i drobną garstką nierozumianych przez nikogo współpracowników. Ileż wysiłków robi się, by wytłumaczyć, że, po kilku latach rządzenia się samodzielnie, naród musiał znaleźć się na skraju przepaści, i musiał być coprędzej „wzięty za twarz”, żeby nie upadł.

„Mikromanja narodowa” w Polsce dzisiejszej, jako przedmiot studjów, byłaby niezawodnie bardziej interesująca, niż „megalomanja narodowa”, której tyle uwagi poświęca — jak wiadomo — prof. Bystron. I wnioski z jej studjowania miałyby też o wiele ważniejsze znaczenie praktyczne...

JAN REMBIELIŃSKI

G Ł O S Y

FORMUŁA: „WÓDZ NARODU” razić musi tem więcej, im głębszą treść nadamy słowu „naród”. Z większą już o wiele racją moglibyśmy mówić „wódz państwa” — a przecież i w tem wyrażeniu drażni nas pewien, czający się w niem, nonsens. Polega on niezawodnie na tem, że w państwie wódz nie może nigdy odegrać tej roli, co w armji. Armji bez wodza wyobrazić sobie nie możemy; natomiast państwo bez wodza jest organizacją kompletną, istniejącą autonomicznie. Wódz stanowi część integralną armji, ale tylko wprowadzoną porządku prawnego państwa. W porządku tym nie ma dla siebie przewidzianego miejsca. W pierwszym wypadku jest niezbędnym, w drugim najczęściej zbędny. Czasem, wyjątkowo, możnaby jednak dorzecznie wyrazić się „wódz państwa” — ale tylko, gdy ma się na myśli zdobywcę czy organizatora, który państwo zakłada, albo gruntownie przekształca, albo bardzo znacznie rozszerza. Możliwość więc powiedzieć: „wódz państwa” — o Tamerlanie, o Bolesławie Chrobrym, o Cromwellu. W takich wypadkach zwierzchnik rzeczywiście dowodzi państwem, prawie tak jak wódz armją — państwo zaś jest plastyczne, rozlewne i zmienia kształty. Ale niech tylko zjawi się odrobina tradycji, niech skryształuje się porządek prawny — a wnet uwydatni się autonomiczność egzystencji państwa, niezależniająca je od instytucji wodza. Im tradycja ta jest wyraźniejsza, im więcej w państwie „państwowców” — tem ostrzej w ich pojęciu klócić się musi ze zdrowym rozsądkiem to wyrażenie: „wódz państwa”. A przecież, jak zaznaczyliśmy, „wódz narodu”, to nonsens o wiele jeszcze dotkliwszy. O „wodzu państwa” można mówić czasem — choć z rzadka; o „wodzu narodu” zaś, ściśle rzecz biorąc — nigdy. Naród bowiem w istocie jest wspólnotą cywilizacyjną; nikt w narodzie zaś nie może tak przewodzić i rozkazywać cywilizacji, jak wódz przewodzi armji. „Wódz cywilizacji” — nie, tej roli nie spełnia żadna jednostka w narodzie. I wyobrazić sobie niepodobna nikogo, coby tak na każdym polu mógł przodować, na każdym coś stworzyć, i na każdym pociągnąć za sobą masy. Istnienie cywilizacji jest w o wiele wyższym jeszcze stopniu autonomiczne, niż istnienie państwa, i nie wymaga absolutnie dowództwa kierowniczej, rozkazującej jednostki. Wyrażenie „wódz narodu” tem więcej ma sens, im więcej upodobnimy naród do luźnej gromady, którą wielu można do szeregów. W każdym głębszem atoli pojęciu, cywilizacja i naród do swego istnienia nie potrzebują ani P. K. U. ani Wodza.

NAUKA I LITERATURA

ODCZYT SEN. ROBERTA FORGES-DAVANZATI
W KRAKOWIE

WRACAJĄC z konferencji międzyparlamentarnej w Warszawie i zatrzymując się po drodze dla zwiedzenia Krakowa, wygłosił w niedzielę dn. 20 stycznia r. b. w miejscowym Instytucie Włoskim, piękny odczyt o polityce zagranicznej Italji, jeden z kierowników rzymskiej „Tribuna” i faszysta *di prima ora* typu nacjonalistów Corradini’go, se-

nator Robert Forges-Davanzati. Senator Forges, przemawiając do publiczności uniwersyteckiej, uwydatnił przedewszystkiem w swoim przemówieniu wartości kulturalne miasta uniwersyteckiego, jakiem jest dziś w wielkiej mierze Kraków. Ale, będąc przedstawicielem typu myślenia, który zajmuje się przedewszystkiem przyszłością narodu, dał do zrozumienia, że, w jego przekonaniu, nie szkodzi starym miastom i zabytkom estetycznie pomyślana modernizacja.

„Kiedy dzisiaj rano” — wyjaśniał Forges — „szedłem w towarzystwie panny Nelli Nucci na Mszę do Panny Marii, oglądałem, głośny podobno, „dom pod kominami”, w którego wartość architektoniczną tu nie wchodzę. Ale sama myśl stwarzania takich obiektów na starych placach ma dawną za sobą tradycję, czego dowodem przybudówka kruchty barokowej do starej waszej gotyckiej fary”.

Z niezwykłą nawet u łacinnika swadą analizował i apologetyzował dalej p. Forges wytyczne współczesnej polityki włoskiej: jej anty-genewskość, jej rewizjonizm i zarzucany jej militarizm.

Co do punktu pierwszego, to stwierdził Forges, że polityka włoska tylko o tyle uchodzić może za antyligową, o ile nie uważa za realne posunięcie Ligi, któreby wymagały nie będących w jej dyspozycji sankcyj. Z tem zastrzeżeniem nie poszły Włochy nigdy za przykładem Japonji, Niemiec, Hiszpanji i t. d.

Co do rewizjonizmu, to wywodził Forges, że nie kto inny, tylko życie zrewidowało już Traktat Wersalski i to w wielorakim zakresie, jak sprawy reparacyj, długów czy zbrojeń. Co do tych ostatnich, w szczególności zauważył senator, że Włochy od początku stały na stanowisku jedynie zgodnym z rzeczywistością, iż Niemiec nie zmusi się do rozbrojenia zapomocą papierowych jedynie przymusów. Tak wyglądała bowiem teza franko-angielska, póki w ostatniej „Białej Księdze” rząd Mac Donald — Simon nie przyznał się *tactile* do swego błędu.

W stosunku nakoniec do Polski, Forges, stwierdziwszy, że od Italji nie oddzielają jej już kilometry i granice w kierunku radja, zaznaczył, iż pomimo świeżych ograniczeń importowych Mussoliniego, które godzą przedewszystkiem w państwa wysoce uzprzemysłowione, obrót handlowy z Polską powinien raczej wzrósć się, niż ucierpieć.

Sala gromkimi oklaskami nagrodziła maistrę oratorską, z jaką przemówienie senatora wypowiedziane było od początku do końca.

K. M. M.

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

„Jak powstały Tatry?” Na ten temat jest wiele pięknych baśni ludowych i literackich, napisanych przez Wincentego Pola, Szujskiego i innych poetów. Ale zagadnienie powstania naszych gór zajmowało nie tylko folklorystów i literatów. Ziemiorodztwem Karpat zajmował się przecie już wielki Staszic, od tego zaś czasu nauka polska znacznie posunęła się w wiedzy taterniczo-geologicznej. Wyniki tej wiedzy powinny być znane szerokim kręgom miłośników Tatr, zwłaszcza młodzieży. W tej to myśli słusznie postąpiła księgarnia „Książnica-Atlas”, wydając na ten temat przystępną i zajmującą broszurę E. Passendorfera, ozdobioną wieloma ilustracjami. Jeżeli o dziełach rąk ludzkich, budowlach, mówi się, że są to „żywe kamienie”, tedy słuszniej tę nazwę godzi się nadać górcom, które żyją od wieków i nieraz z żywego organizmu się wytworzyły. „Murtwota Tatr jest pozorna” — pisze p. Passendorfer: „Tatry mają długą i urozmaiconą historję, a obraz ich dzisiejszy to tylko jeden z ostatnich, względnie młodych i krótkich epizodów... Były w historji Tatr okresy takie, w których na miejscu dziś dumnie sterczących turni szumiąło głębokie i rozległe morze; były okresy, w których tworzyły się rafy koralowe, na podobieństwo dzisiejszych raf, budowanych na morzach tropikalnych; były okresy, w których Tatry, skute pancierzem lodowym wysyłały języki lodowców na północ i południe”.

Do szerszych kręgów czytelniczych powinno przemówić wezwanie autora, by czytali w otwartej księdze przyrody. Sądźmy, że lektura książeczki Passendorfera ułatwi im te zadanie. (J. B.)

TEATR

„KRYŚIA” W TEATRZE NARODOWYM

BOHATERKĄ tytułową nowej trzyaktowej sztuki Jerzego Szaniawskiego, wystawionej w Teatrze Narodowym, jest mała dziewczynka. Ale uspokójcie się, czytelnicy. Nie pokazano nam wcale jednego z tych widowisk, na które patrząc, widz wzywa w myśli interwencji towarzystwa opieki nad zwierzętami.

Szaniawski nie wprowadził na szczęście bohaterki tytułowej na scenę; zostawił ją za kulisami.

Kryśia jest dzieckiem normalnym, mieszka w podgórskiej miejscowości. Pewnego razu poszła z dziećmi na spacer na łąkę i... przydarzyło jej się to, co się niegdyś przydarzyło Joannie d'Arc i wielu innym dziewczynkom: ujrzała postać niebiańską, która oświadczyła jej, że na terenie Małokłósów istnieją źródła wody leczniczej.

Zdarzenie owo wywołało wielką wrzawę. Do wsi rodzinnej Krysi, na wieść o „cudzie” zaczęły ścigać tłumy ludzi. Zarówno ciekawych, jak również pobożnych i chorych. Wypadkiem zainteresowały się gazety.

Wieść o nim dotarła do stolicy, gdzie mieszkał stryj wizjonerki, właściciel Małokłósów, bogaty pan prezes Porwita.

Dla tego pana, człowieka interesu, wiadomość owa narazie była nieprzyjemnością. Krysię, „ubogą krewniaczkę”, poczytał za istotę chorą psychicznie. Z głęboką przykrością podjął się misji zawezwania do niej słynnego psychjatri.

Niejaka panna Irena, narzeczona syna pana Porwita, zwraca swemu przysłanemu teściowi uwagę, że w miejscowości, sąsiadującej z Małokłosami, istnieją źródła lecznicze, nie jest zatem rzeczą nieprawdopodobną, że w Małokłosach istnieją również. Od tej chwili zmienia się gruntownie stosunek trzeźwego aferzysty do sprawy „cudu”.

Rodzina Porwiczów udaje się w komplecie do Małokłósów i, po zasięgnięciu opinii geologów, rozpoczyna wiercenia.

Ludzie ci w objawienie Krysi coprawda nie wierzą, nie są nawet pewni, czy się dokopią wody leczniczej (opinia geologów była niewyraźna), pewni są jednak, że jakąś wodę, na jakiejś głębokości znajdą. W najgorszym wypadku można będzie założyć zakład hydropatyczno-przyrodniczy, coś w rodzaju drugiego Kosowa! Ale przede wszystkim trzeba wykorzystać rozgłos, wywołany przez Krysię. Małokłosy stały się przecież celem pielgrzymek z całego kraju: ciągną do nich tłumy kalek i kompanje pobożnych pątników z krzyżami i chorągwiami.

Porwitzowie mają za złe miejscowemu proboszczowi, że się tą sprawą nie interesuje, że nie chce do niczego się mieszać.

Panna Irena wpada na pomysł, żeby Krysię pokazać paru starannie z tłumy wybranym idjotom, przygłupom, bigotkom i histeryczkom (kalek prawdziwych do dziecka nie dopuszczają). Staje się „cud” bardzo pożądany dla reklamy przedsiębiorstwa: jedna z histerycznych paralityczek odyskuje władzę w członkach. Ceny ziemi w Małokłosach idą w górę. Pan Porwita sprzedaje za słone pieniądze drobne działki gruntu okolicznemu chłopstwu. W przyszłości obiecuje sobie sprzedawać ziemię nie na morgi, lecz na łokcie.

Mija szereg miesięcy. Zainteresowanie Krysią słabnie. Cudowne uzdrowienia jakoś się nie powtarzają. Wody nie tylko leczniczej, lecz jakiegokolwiek ani rusz dokopać się nie można. Zawiedzeni chłopci, nabywcy gruntów pana Porwitzów poczynają się burzyć.

Sztuka kończy się bankructwem imprezy i ucieczką Porwita z Małokłósów.

Prosty monter, prowadzący roboty wiertnicze tak pod koniec trzeciego aktu przemawia do swoich pracodawców:

— Gdybyście mieli taką wiarę, jaką miała Kryśia, to byście może do wody dotarli. Paralityczka ozdrowiała, bo wierzyła, ale wyście nie wierzyli i z cudzej wiary chcieliście zrobić interes, dlatego wody niema i nie będzie.

Utwór Szaniawskiego ma, jak widzimy, głęboką tendencję moralną, jest podniosły i szlachetny. Piętnuje spekulantów, którzy zastępują ideję, przekonanie, wiarę — wyrachowaniem — i z przekonania, wiary, ideałów — usiłują ciągnąć zyski.

Skomponowany został z całym nakładem mistrzostwa dramaturgicznego, jakim rozporządza Szaniawski.

Odzwierciedla całą kulturę etyczną i artystyczną tego pisarza, a jednak, wyznając, wzbudził on we mnie mniej entuzjazmu, niż „Ptak”, „Żeglarz”, „Most” czy „Fortepian”. Mniej jest w „Krysi” poezji. Autor zastąpił ją dowcipem. Dowcipem wyborynym, ostrym, przenikliwym, delikatnym, subtelnym, cfinkim, wzbudzającym podziw, ale nie rozrzucającym. Utwór jest zimny, pomimo mistrzowskiego rysunku figur, pomimo wybornie obmyślonych sytuacji, wspaniałe wypracowane efekty. Brak mu czegoś... Być może właśnie wiary. Szaniawski ustosunkował się do wizji Krysi tak jakoś neutralnie w akcie pierwszym, tak jakoś... obiektywnie kazał nam patrzeć na „cud” uzdrowienia w akcie drugim, tak zaraził nas sceptycyzmem cynicznej panny Ireny, że nie byliśmy w stanie głębiej się wzruszać. Z tem większą trzeźwością, z tem większym krytycyzmem mogliśmy ocenić wysoko wartość pomysłów autorskich i precyzję ich zrealizowania.

Przedstawienie zostało znakomicie wyreżyserowane przez pana Aleksandra Zelwerowicza, który świetnie odtworzył rolę Porwita. Akompanjowali mu: pani Gella, Pawłowski, Wasilutynska. W rolach epizodycznych, z których każda jest wyborna, zachwycaliśmy się panią Łaską, panem Hajdną, Fabistakiem, Chmielewskim, Dereniem i Bogusłaskim.

Dekoracje pana Jarockiego—bardzo dobre. S. G.

„MATOLEK Z WYSP NIEOCZEKIWANYCH” W TEATRZE POLSKIM

NAOGÓL wieści z szerokiego świata otrzymujemy zapóźno, i to przeważnie w postaci bałamuctw — ale za to co pewien czas poznajemy nawet przed Anglią najnowsze poglądy Shawa na lokalne sprawy angielskie. Siedemdziesięcioośmio-letni starzec tak zlokalizował swoje zainteresowania, że nawet jurysdykcję Sędziego Najwyższego na Sądzie Ostatecznym ograniczył narazie do imperjum brytyjskiego. Ufa snadź, że te miejscowe sprawy zaciekawiają innych — i, jak widać, nie myli się. Wdzięczni zresztą jesteśmy teatrowi Polskiemu za zajmujące widowisko. Zwolennicy nowoczesnego tempa wdzięczni mu być mogli za sam pośpiech, nawet jeśli sztuką nie potrafilł się szczerze zabawić. Przeszkodą była właśnie wspomniana niedbałość Shawa o to, żeby być zrozumiałym nietylko w kręgu ziomków. Autor nie poświęcił nic ze swej parafrańszczyzny, i wszystkie aluzje, niedopowiedzenia, szyderstwa i nauki przeznaczył właśnie tylko dla swoich. Sztuka ta może mieć właściwą akustykę tylko w klimacie zagadnień religijno-moralnych, nurtujących współczesną Anglię.

Zagadnienia religijne, jak wiadomo choćby z „Przygód Murzynki poszukującej Boga” — coraz bardziej starego Shawa zajmują. Mimo świetności swego talentu artystycznego Shaw należy do wyraźnych moralistów. Nie wystarcza mu morał ukryty, musi głosić nauki jak przewodnik duchowny, jak kaznodzieja. Nie brak mu po temu poczucia wagi zagadnień moralnych, ani zasobów retoryki i brak mu tylko metafizyki.

Zadziwiać musi ponownie w ostatniej sztuce zdolność starego Shawa do inscenizowania rozterek intelektualnych w teatrze. Jest to nadzwyczajny niewątpliwie dar przejęcia

widza własnym poczuciem znaczenia tych pasjonujących spraw — przy pomocy akcji i słowa. Główną sceną utworu, nierównie dłuższą i świetniejszą od poprzednich, krótszych i niezbyt ciekawych, jest akt końcowy, w którym szczęśliwą kolonję, eksperymentującą w zakresie wychowania, nawiedza Anioł, zapowiadający początek Sądu Ostatecznego — Sądu, który niebawem zaczyna się dopełniać nad mieszkańcami wyspy i nad Anglią. Narody bowiem poszły pod sąd boski po kolei. I zaczęto w Niebie od Anglii...

Ci, co nie potrafią usprawiedliwić swolch żywotów, znikają. I tak młodzież, wychowana na wyspie w myśl zasad Russełów i Ellisów, znika najpierw...

Scena ta obfituje w efekty wybornego dowcipu, przeniknięta jest przytem łagodnym humorem. Jednakże postaci nie mają życia indywidualnego: Shaw w pośpiechu publicystycznym pozbawił swych bohaterów psychologii. Symbolizują oni tylko idee, ideały i herezje. Kończy się sztuka typowo shawoską tyradą ku czci człowieka — jednym więcej wyrazem mocnego zaufania w niewyczerpane siły twórcze ludzkiego gatunku.

Pociąga więc sztuka świeżością pomysłów inscenizacyjnych, błyskami wyobraźni poetyckiej i dowcipu — ale Shaw moralista nie ma w niej właściwie nic więcej do powiedzenia poza tem, że zagadnienia moralne są ważne. Zastajemy go w tej samej pozycji, w jakiej widzieliśmy tego atletę już nieraz. Od widowiska z początku ziało prawie nudą. Zapaśnik po staremu boryka się z tym samym przeciwnikiem: ze światem pojęć purytańskiej burżuazji angielskiej. Wróg nie pokonany i wciąż silny; i Shaw też nadal rzeźki. Ale technikę tej walki znamy już dobrze. Patrzącym na to starcie w teatrze wydaje się nieraz, że żaden z przeciwników nie ruszył z miejsca.

Przedstawia się więc nam Shaw ponownie, jako „lewicowy“ chrześcijanin inspiracji kalwińskiej. Resonans sztuki z tego powodu nie mógł być w Warszawie dobry. Publiczność angielska przywykła nawet w czasie zawodów wioślarskich na Tamizie widzieć unoszone nad tłumem transparenty z napisami takimi, jak: „Jezus patrzy na was“. Myśmy jednak nie przywykli do tak pospolitego użytku hasel religijnych i cytatów z ksiąg świętych. Nie trzeba zapominać, że przyjmuje on, jako rzecz naturalną, że audytorja teatralna składają się tylko z chrześcijan. Spory teologiczne, jakie przed słuchaczy wytyacza, są bądź co bądź sporami w rodzinie... Shaw nie jest autorem dla mniejszości narodowej, jakiej liczną domieszkę widzieliśmy na premierze w teatrze Polskim. Przed taką widownią swobodne wywlekanie na scenę cytatów z Pisma Świętego wydawało się nieraz w najwyższym stopniu niestosowne.

Przekład bardzo marny, co już widać w tytule. „Wyspy Niespodzianki“, „Wyspy Bajeczne“ — alez prawie każdy inny tytuł brzmiałby lepiej.

Aktorzy grali zespołowo nader starannie i poprawnie.
W. J. C.

STAŁY REPERTUAR W TEATRZE NARODOWYM

TOW. krzewienia kultury teatralnej, zarządzające w Warszawie pięciu teatrami, uległo nareszcie pokusie opinii i jedną ze scen, mianowicie teatr Narodowy, przeznacza na teren pielęgnowania arcydzieł w stałym repertuarze. Decyzja ta w zasadzie idzie po linii wskazań St. Pleńkowskiego, który przed rokiem (nr. 8 z r. 1934) w „Myśli Narodowej“ poświęcił tej sprawie doskonały artykuł p. t. „Stały repertuar“. Są jednak odchylenia, spowodowane względami praktycznej natury i obawy... publiczności.

Kierownictwo teatrów (i wogóle sztuki) u nas patrzy na publiczność błagalnie, ale ze skrajnym pesymizmem. Utało się, że Warszawa chodzi do teatru tylko przez snobizm, dopokąd nie wyczerpie się moda chodzenia na ostat-

nią nowość. Na stare sztuki chodzić nie lubi. Jest to psychika sztuki, lecącej na interes, nie mającej wiary w źródła wody żywej, ukryte w łonie cywilizacji narodowej. Dla tego samego powodu, nawet decydując się na stały dobór dzieł, teatr nie uwierzy, aby można było ograniczyć się doбором dzieł polskich jedynie.

Projekt dotyczący teatru Narodowego poczyna sobie ostrożnie. Na razie przeznacza na dzieło wypróbowane tylko trzy dni w tygodniu, zostawiając resztę na nowość. Zniża ceny biletów na rzeczy stare, aby dać dostęp do teatru rzęszom szerszym. Do stałego repertuaru wciąga narazie to, co niedawno było grane z powodzeniem (Zemsta, Wielki wiek do małych interesów, Klub Kawalerów, Rozbitki i t.p.), zarzekając się planu zgóry ułożonego, aby skompletować zgóry ułożony zespół arcydzieł. Wreszcie włącza do repertuaru sztuki obce (Intryga i miłość, Henryk IV, Poskromienie złośnicy).

Bądź co bądź będzie to krok naprzód, Warszawa zdoła będzie się wreszcie na teatr, jaki posiada każde większe ognisko twórczości narodowej. Zdajemy sobie sprawę, że wykonanie takiego planu nie jest rzeczą łatwą. Ale kiedyż to zrobić, jak nie w warunkach obecnych, kiedy teatry są zespolone i można wogóle myśleć o podziale pracy. Trzeba tylko wierzyć w to, co trwałą (nie sezonową) wartością sztuki i tej wiary uczyć publiczność, nie demoralizując jej ciągłym (jak było dotąd) wtajemniczaniem w stan kasy, jako miary wartości. Lata całe o teatrze mówiło się tylko w związku z powodzeniem kasowym.

Teatr Narodowy odda wielką kulturze artystycznej przysługę i zaręczymy, że siła jego atrakcyjna znajdzie się w prostym stosunku do wiary, jaką włożą w robotę jego kierownicy. Potrzebna jest tutaj wiara w życie cywilizacji narodowej, wyjawiające się w twórczości. W.

M U Z Y K A

TEATR WIELKI. „Straszny Dwór“ opera Stanisława Moniuszki (wznowienie).

SARMATYZM jest niewątpliwie jednym z najciekawszych przejawów naszej narodowej cywilizacji, a ileż się na nim psów nawieszało i wieszka w dalszym ciągu z przyzwyczajenia, głupoty i najprostszej bezmyślności! Nie podobał się kiedyś idącym z duchem „oświeconego“ wieku sferom wyższym, które razła podgoloną głową, tak inna od ludwikowskich peruk, czy rewolucyjnych kędziorów „à la Titus“, krzywa szabla, barokowy ułkon i owe „ciemne przesady“, a więc „bigoterja“ czyli silna, żarliwa wiara, „kołtuństwo“ czyli przywiązanie do tradycji i t. d. Gromada rozbawionych i przemądrzałych panów, egzaltujących się idejami zrodzonymi w zabobonach wolnomularskich biła brawo, kiedy ktoś ośmieszał prostaczków, tych samych, którzy w wieku XIX-tym, najcięższym okresie niewoli dali warstwę walczącą bez granic ofiar i przodującą swoim wyraznym, a przeto i mocnym typem cywilizacyjnym. „Dwór“ czy „dworek“, „pani“ czy „matrona polska“, „panna ze dworu“ czy „paniczka“ zdają się być dla nas jakimiś niezbędnymi wprowadzic, ale tylko akcesorjami tego okresu, takimi jak „sekretarzyk serdeczny“ i „zegar kurantowy“, a są to przecież postaci żywe, bohaterowie największej tragedji narodowej. „Matrona polska“ dawała synów na śmierć, „panna ze dworu“ opatrywała rany „panicza“, a pan szedł do miasta unosząc ze skonfiskowanego „dworku“ „zegar kurantowy“, przypominający co godzina nuty „starego Dąbrowskiego mazurka“, oraz „sekretarzyk serdeczny“, przechowujący zaszczyt, skrwawione bandaży i krzyże wojenne.

Cały ten piękny i ciekawy świat począł zanikać w tygłu przemian społecznych i politycznych ostatnich lat ubiegłego stulecia. Poczęły rosnać bezstylowe miasta i powsta-

wać typ nijakiego „inteligenta“. Pozostały jeszcze na roli ziemianin przybierał wygląd „zachodni“, według recepty hrabiego z „Lalki“, co to uważał, że szlachciec powinien być tylko i wyłącznie w stylu angielskim.

Stanisław Moniuszko i jego sztuka należy do świetnych, trudno inaczej określić, wykwitów sarmatyzmu, czyli rasowej polskości. Trzeba sobie to przecież uzmysłowić, że po to, ażeby mógł napisać „Straszny Dwór“, musieli przedtem jego ojcowie ciągnąć nieraz całemi dziesiątkami mil, często gęsto na swoich jedyńsiogach, ażeby potem na polu elekcyjnym własnogębnie okrzyknąć nowego króla; albo „z kozaki iść na wojnę“, harcować po Dzikich Polach, a swoją krwią tworzyć takie fakty historyczne, jak odsiecz wiedeńska, pełną chwały obronę cywilizacji. To też wartości moniuszkowskich tam szukać należy, a nie w odważaniu tego lub innego taktu, z jednocześnie kręceniem głową nad ubogą harmonją i niewyszukaną formą. Ludzie porównujący go pogardliwie do prymitywu nie zdają sobie wcale sprawy, że w tem niewyszukanu przebijają się przecieży owa, tak dla naszej sztuki charakterystyczna linja naiwna, która w architekturze wyrafinowanemu barokowi potrafiła nadać piętno prostej, budującej pokory.

Moniuszko, to szlachciec ubogi, przymierający nieraz głodem, pożyczający parę groszy na obiad, ale herbu „Krzywda“, z którym mu niezwykle do twarzy. Inaczej jest, gdy na kontusz usiłuje wdziać sukmanę. Czuć tu zaraz jakiś świat, nie obcy wprawdzie, ale i nie ten sam. To też „Halka“ robi na mnie wrażenie nieco podobne do pocztówek Wale-rego Eljasza, ciągnącego wślad wózka Chałubińskiego z ciupagą i kapeluszem „panama“ na głowie.

„Straszny Dwór“ to co innego. To najlepsza opera polska. Szczera, bezpośrednia, prawdziwa. Trudno więc było czemkolwiek wytlumaczyć brak jej w repertuarze stołecznej Opery, chyba tylko ostatecznym, karygodnym niechlujstwem. Obecnie na szczęście wznowiono ją i pokazano. Jak?

Inscenizacja poszła po linji realistycznej. Jest w tem takie nieporozumienie, jakie wogóle tkwi w realistycznym traktowaniu opery. Prawda, że wysiłek teatru zrobił wiele, ażeby dać pozory prawdy. Wysiłek, bo i w tym kierunku nie zrobiono wszystkiego. Dobrze na tymczasem i to. Ale tylko na tymczasem. Bo należy jaknajprędzej wziąć się do „Straszego Dworu“ i pokazać go w pełnem słońcu. Wymagać to będzie dużej pieczołowitości i niemałego nakładu pracy. Jest to nie tylko potrzeba, ale konieczność. Jeśli nas stać (widocznie) na obdzielenie tysiącami złotych zbiegowiska żydowskiego na międzynarodowych konkursach o wątpliwej wartości propagandowej, nie można byle czem opędzić oprawy scenicznej takich dzieł sztuki, jak „Straszny Dwór“.

Radziłyśmy byli, ażeby głos nasz był pierwszym z tych, które się kategorycznie o to upomną.

W. NARUSZ

Z M A R L I

Ś. P. JAN MICHAŁ ROZWADOWSKI.

W DNIU 14 bm. zmarł nagle w Warszawie b. prezes Akademii Umiejętności, prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego, znakomity językoznawca i myśliciel ś. p. Jan Michał Rozwadowski.

Urodzony w r. 1867 w Krakowie, studiował najpierw filologję klasyczną na Uniwersytecie Jagiellońskim, poczem w Lipsku odbył studia językoznawcze. Mianowany w r. 1899 profesorem językoznawstwa indoeuropejskiego w krakowskiej wszechnej, pracował na tej placówce naukowej i pedago-

gicznej aż do ostatniej chwili przez lat 36. Ś. p. prof. Jan M. Rozwadowski był doktorem honorowym uniwersytetu warszawskiego, w roku 1925 objął po prof. Kazimierzu Morawskim prezesurę polskiej Akademii Umiejętności, ustąpił tej godności prof. Kostaneckiemu w r. 1927. W tymże roku — w 60-lecie urodzin prof. Jana M. Rozwadowskiego — urządzono uroczysty jubileusz dla uczczenia jego zasług naukowych i wydano drukiem 2-tomową księgę, przez lingwistów polskich i obcych napisaną, p. t. „*Symbolae grammaticae in honorem Joannis Rozwadowski*“.

Z pośród licznych prac naukowych ś. p. prof. Jana M. Rozwadowskiego należy wymienić z dziedziny języka polskiego jego cenną „Historyczną fonetykę języka polskiego“ (wyd. w 1915 r.), oraz „Ze studjów nad nazwami rzek słowiańskich“, dalej prace z zakresu języków celtyckich, a z dziedziny językoznawstwa ogólnego — studia nad semazjologją.

Prof. St. Szober w zyciorysie zmarłego pisze:

„W sposobie ujmowania i rozwiązywania tych różnorodnych zagadnień uwydatniła się w pracach Rozwadowskiego jedna charakterystyczna dla każdego niepospolitego umysłu naukowego cecha: zdolność łączenia wnikliwej i skrupulatnej analizy z potrzebą syntezy i umiejętnością wydobycia jej z badanych faktów. Umysł Rozwadowskiego wiązał się z faktami, ale umiał w ich mikrokosmie dostrzegać prawa, rządzące nurtem całego życia.

Wyniki swoich badań w zakresie językoznawstwa ogólnego Rozwadowski tak sam scharakteryzował przed kilkunastu laty: „Sformułowałem kilka spostrzeżeń, które zakresem swego uogólnienia może zasługują na nazwę „praw“, a mianowicie prawo dwuczłonowości, stwierdzające, że podstawą każdego tworu językowego, o ile jest wyrazem jasnej apercepcji, jest dwuczłonowość; dalej prawo ilościowe rozwoju językowego, stwierdzające, że różnica między parami tworów językowych musi przedstawiać pewną stałą ilość: jeżeli spadnie poniżej tej miary, to jeden twór, jako samodzielny, ginie; jeżeli się wznieśnie ponad tę ilość, to powstaje nowy, samodzielny twór; wreszcie prawo dysautomatyzacji, orzekające, że zasadniczą przyczyną ewolucji w twórczości językowej, równie dobrze, jak w całej twórczości kulturalnej, jest ciągła potrzeba odświeżania zużywającego się przez automatyzację czynnika uczuciowego“ („Polska w kulturze powszechnej“, dzieło zbiorowe pod redakcją F. Konecznego, t. II, 133—4. Kraków 1918).“

Rozprawa ś. p. Rozwadowskiego o prawie automatyzacji i dysautomatyzacji stanowi wybitną pozycję w naszej literaturze filozoficznej. Takież charakter ogólny ma jego ostatnia książka p. t. „Prawda życia“. Właśnie przybył do Warszawy, aby w Tow. Naukowym wygłosić odczyt, streszczający tę kwestję. Odczyt zrobił głębokie w świecie naukowym wrażenie. Na dworcu kolejowym, gdy wracał do Krakowa, zmarł nagle. Pochowany w Krakowie.

Spółczesność polska traci w ś. p. Rozwadowskim utalentowanego uczonego i wybitnego obywatela, człowieka twórczego w wielkim stylu najlepszych tradycji polskich.

W.

Ś. P. JAN ROZWADOWSKI

W OSTATNIEJ chwili dowiadujemy się o śmierci ś. p. Jana Rozwadowskiego, ekonomisty, wybitnego członka zarządu Stronnictwa Narodowego we Lwowie.

Dziwnym zbiegiem okoliczności śmierć ta nastąpiła w kilka dni po nagłym zgonie dalekiego krewnego, Jana Michała Rozwadowskiego, którego nekrolog podajemy wyżej. Była to również śmierć nagła, zaskoczyła go także w Warszawie, dokąd na czas krótki przybył.

Obszerniejszą wiadomość o życiu i zasługach ś. p. Jana Rozwadowskiego podamy w następnym numerze.

ZE STAROPOLSKIEJ POEZJI MIESZCZAŃSKIEJ

I. SEBASTJAN FABJAN KLONOWICZ

(z „Roxolanii”)

Tu na przedmiejskich kałużach się wiodą
Chałupy żydów, obdartych nędzarzy:
Każdy, jak kozieł oszpecony brodą,
Z wieczną białością na uścich i twarzy.
Niosformym krzykiem wro ich synagoga,
Wrzeszczą w sto głosów modlitwę szabatu,
Ieh ślepa ciżba uraga się z Boga
I prosi o to, co już dano światu.
Spytasz: przez wilka wpuszczają do owczarni?
Co tutaj robi ów chytry ród węży,
Nieprawe zyski najłapczywiej garnie
I srogą lichwą ubogich ciemieży.
Wszak robak dębu nie wyniszcza razem,
Lecz go na próchno przegryza pomału;
Jak rdza się pastwi nad twardem żelazem,
Mól szkodzi sukniom, a pijawka ciała,
Tak żyd-włóczęga przez sztukę bezprawi
W ciało społeczne wpije się i wroście,
Nasze bogactwa pożre i przetrawi,
Pochłonie wszystkie kraju posiadłości.
Obaczą króle, skąd straszliwa rana,
Rzeczpospolita jednakże po niewczasa,
Gdy krew z jej ciała będzie już wyszana
I wszelkie życie obumarłem zda się.

(Przekład Wł. Syrokomi)

II. PIOTR GORCZYN

(„Zolus Korony Polskiej na złe dzisiejsze obyczaje”)

Żyd swą przewagą wszystkiego dostaje,
Arendy trzyma, poddane, rataje,
Trudno żywności już dostać inszemu,
Zwłaszcza nędznemu...

Ktoby wyliczył? obaczmy to sami,
Co mamy czynić z temi szkodnikami,
Odjąć im dobra a do Tatar z nimi,
Wielce szkodnymi.

Już dziś nikomu nie kupić, ni sprzedać,
Już do posady tylko żyda żądać,
Żyd już doktorem, żyd i rzemieślnikiem,
Żyd i złotnikiem.

Niechaj kto palec zakrzywi na żyda,
Niech zartem rzecze, żeś ty zła ohyda,
Dostanie prędko żyd sprawiedliwości,
A bez trudności.

Obadź świat wszystek wkrąg, nigdzie wolności
Nie mają takiej, jako w polskiej włości,
Bo tu o co się pokuszają, dokażą,
Z twoją urazą.

O męzoburey! o nieszczęsne plemię,
Pożal się Boże, żeście kiedy ziemię
Opanowali Polską i jak chcecie,
Rozkazujeście.

Wszystko mamona pokrywa przeklęta,
Przed którą stąka sprawiedliwość święta,
Stąd plagi pańskie w Polsce zakwitnęły,
Cnoty zginęły.

NOWE KSIĄŻKI

Górski Artur. Myśli zebrane (wygłoszone przez Radjo). Warszawa. Nakładem Polskiego Radjo. S. 202.

Cervantes. Przygody Don Kichota w przekładzie E. Boyé. Z 15 rys. Warsz. Książnica-Atlas.

Chlebowski Bronisław. Literatura polska porobiorowa jako główny wyraz życia narodu po utracie niepodległości. Wyd. II przejrzał i dopełnił Leon Płoszewski. Lwów 1935. Zakład Nar. im. Ossolińskich. S. 616.

Brandstaetter Roman. Jerozolima światła i mroku. Poemat. Warsz. 1935.

Waszak Stanisław. U źródeł naszego ubóstwa. Poznań 1935. S. 40.

NA MARGINESIE

Akademik Literatury, Kaden-Bandrowski wygłosił w szeregu miast niemieckich odczyt p. t. „Nowe wartości w narodowym życiu Polski”. W opublikowanym teraz tekście tego odczytu („Pion”) widzimy, że mówił tylko o swoich wyobrażeniach mitologicznych na temat niepodległości. Ale mówił w taki sposób, że wątpliwą jest rzeczą, czy Niemcy zorientowali się w tych wartościach. Oto przykład:

„Zwycięski duch wśród wszystkich klęsk—to głos dziejowego dzwonu, który bije we wszystkich przedsięwzięciach tego człowieka, bez którego (?) mąż ten nie poprowadzi nigdy swych ludzi, by śmierci w oczy spojrzeli”.

Jakaż to biedna myśl, skoro nie może znaleźć dla siebie wystowienia.

Ktoby się spodziewał, że formułki dekretu prasowego „Nieprawdą jest...”, „natomiast prawdą jest...” staną się punktem zwrotnym w dziejach naszego postępowania honorowego, i że za ich pomocą będzie można w sposób chyba najprostszy odpiarać rozmaitego rodzaju zarzuty.

Weźmy kilka urywków ze „sprostowania urzędowego”, nadesłanego „Gazecie Radomskiej” przez niejakiego E. Ledóchowskiego, komornika z Ostrowca:

„Powołując się na obowiązujące przepisy prasowe, proszę o zamieszczenie w najbliższym Nr. czasopisma „Gazeta Radomska”...

„Nieprawdą jest, jakobym ja, niżej podpisany, Eugenjusz Ledóchowski, był 4. brygadowcem, natomiast prawdą jest, że nigdy do żadnej brygady nie należałem...”

„Nieprawdą jest abym był spryciarzem, szelmą, natomiast prawdą jest, że po wieloletniej służbie w charakterze urzędnika sądowego, mianowany zostałem komornikiem w Ostrowcu i t. d....”

„Nieprawdą jest, że jakoby sanacja wyrzuciła mnie na zbity łeb w tych dniach, natomiast prawdą jest, że z sanacji wyrzucony nie zostałem.

„Nieprawdą jest, jakobym się pchał do wszystkich instytucji społecznych z waseliną a wyleciał bez waselinki, natomiast prawdą jest, że do straży pożarnej zaproszony zostałem przez czełgodnego prozesa i t. d....”

Urywek z podsłuchanej rozmowy:

— Widzi pan, jak Hitler wciąż i wciąż daje narodowi okazję do entuzjazmu: wprowadzenie powszechnej służby wojskowej, powrót Saary do Rzeszy...

— Wszystko to bagatela! Jakaś tam zmiana właścicieli małego zagłębia... Myślny zmienili właściciela całego państwa — zapomniał pan już o obchodach ku czci nowej konstytucji?

Z i e k i M a r c j a l i s o w e j .

Upaństwowiacze wpadli na myśl niebotyczną,
By upaństwowić także prawdę historyczną.
Prerażonej tem Klio rylec wypadł z dłoni...
A właśnie trzy sąsiadki przyszły w gości do niej,
Trzy Parki. Więc bezczelna zaśmiała się Klot:
„Nie sobie z tego nie rób, nie troskaj się o to.
Bo niech upaństwowiacze jako chcą się głowić,
Niech wszystko upaństwowią — nas nie upaństwowią.
A gdy rzecz przyjdzie kiedyś do nas — losów przadek,
Z upaństwowioną prawdą zrobimy porządek.
Ty zaś mieć tylko będziesz nowy temat w zysku.
Niemasz przeto powodu wcale do utysku,
Umęczony czytelnik czasem się rozśmiej”.

(S. S.)

CZAS ODNOWIĆ PRENUMERATĘ ZA

„**MYŚL NARODOWA**”

NA KWARTAŁ II

PRENUMERATA

do końca roku . 26 zł.

półroczna zgóry . 17 zł.

kwartalna zgóry . 9 zł.

Do numeru niniejszego załącza się blankiet P.K.O. 3105.

Można również przysyłać prenumeratę do 15 zł. — bezpłatnie za pośrednictwem blankietów rozrachunkowych, które można nabywać na poczcie w cenie 1 grosza.

WYSZŁA Z POD PRASY KSIĄŻKA

ZYGMUNTA WASILEWSKIEGO

N O R W I D

Str. 248. Cena zł. 5 (z przes.)

NABYWAĆ MOŻNA W ADMINISTRACJI

„**MYŚLI NARODOWEJ**”

AL. JEROZOLIMSKIE 17

KONTO P.K.O. Nr. 3.105

Nowa praca prof. R. RYBARSKIEGO

Ukazała się w tych dniach książka Romana Rybarskiego

p. t. **NAUKA
SKARBOWOŚCI**

(str. 400, duża ósemka)

Książka ta przeznaczona jest przede wszystkim dla uczącej się młodzieży; może jednak oddać usługi wszystkim, którzy interesują się zagadnieniami finansowymi. Książka obejmuje całość nauki skarbowości, uwzględniając równomiernie wszystkie jej działy. Osobne części poświęcone są: budżetowi i prawu budżetowemu, wydatkom państwa, dochodom, ze szczególnem uwzględnieniem różnych systemów podatkowych, wreszcie długom państwowym i finansom samorządowym.

Cena księgarska 16 zł, 50 gr. Po nadesłaniu powyższej sumy administ. „Myśli Narodowej” wysyła książkę bezwzględnie.

NOWA KSIĄŻKA

p. t.

**ŚWIATOWA POLITYKA
ŻYDOWSKA**

Napisana przez

ZBIGNIEWA KRASNOWSKIEGO

jest niezmiernie cennym wydawnictwem

do nabycia w administracji

„**MYŚLI NARODOWEJ**”

Warszawa

Al. Jerozolimskie 17

Cena 4 zł., z przesyłką pocztową 5 zł.

Za zaliczeniem pocztowem 5 zł. 50 gr.

Należność można wpłacać na konto czekowe
P. K. O. „Myśli Narodowej” Nr. 3105.

TREŚĆ:

Analogja z przeszłości R. Rybarskiego. — Rok 1863 St. Didlera. — Konfederacja Barska a chłopci Wł. Konopczyńskiego. — Nad „Norwidem” Wasilewskiego A. Grzymały-Siedleckiego. — Apostrofa jesienna O. Brzeziny (przekład I. Vorel-Czempińskiej). — Na widowni J. RembIELińskiego. — Głosy. — Nauka i literatura („Odczyt sen. Roberta Forges-Davanzati w Krakowie” K. M. M. i t. d.). — Teatr S. G., W. J. C. i W. — Muzyka W. Narusza. — Zmarli. — Ze staropolskiej poezji mieszczkańskiej — Nowe książki. — Na marginesie.

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI.

Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80.

PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁEM